

CZARNA PEREŁKA.

Powieść

przez B. Bolesławitę.

(CIĄG DALSZY)

Pojeżdżając ku Zakopanemu, gdy w pogodny dzień łańcuch gór oświecony słońcem zachodu ukaże się przed oczyma podróżnego w całym swym majestacie, ze śnieżystemi głowy, z poszarpanymi boki, z iglastymi szczyty, z czarnymi pasami lasów jodłowych, wyglądających jak podarta opadająca do stóp szata ciemna — mimowolnie uroroczysty jakiś smutek duszę ogarnia... Im bliżej ku tej bliźnie po tysiącoletniej ranie zadanej ziemi — tem kraj staje się dzikszy, puściejszy, cichszy. Gdzieniegdzie łoże strumienia zasiane kamieniami a wyschłe, i choć wyschłe groźne — rozdarta ziemia, którą sączy się górski potok, mogący wezbrać co chwila i rozlać na pola, po nad nim obnażone głazy, kupki jodeł, chaty ciemne... zagrody ubogie i gdzieniegdzie z gromadki drzew ciemna kościółka wieżyczka wygląda. Czuć, że tu już ludzie dotarli do granicy mieszkalnej, że dalej po za wsie u podnóża Tatrów, człowiek wdrapać się tylko może na chwilę i chronić musi przed siłami, które tym światem władną, a których on nie zmoże. Dalej pustynne doliny, cisza... szumią bory, wiatr Shakespearowskie odgrywa dramata, wody mruczą złowrogo... i ledwie postrzeżesz zwierzę... Świat czarów, niezawładnięty przez człowieka, do którego się on wkrada i ucieka; tu lecą legendy, tu mieszka bajka, tu chronią się duchy... tu stare wygnane pieśni drzemią na gałęziach jodłowych...

A mimo tego smutku, który krainę obwiewa — jest ona cudownie piękna, swą wdowią żałobą po życiu, którego niedopuszcza... kraina ta pustelnicza, która chce być martwą... i musi być niegościnną, bo by nie była gniazdem natchnień, pieśni, snów i legend czarownych. Broni się ona oblężona przez człowieka — króluje jej tylko Bóg...

U stóp jej wsie zdają się pokornie leżeć jak u nóg królowej i z przestrachem patrzyć na nią... Ztamtąd lecą burze, leją się wody, spadają skały... dziś świeci się gór onych sznur jak korale krasnych... jutro sino i żałobno na niebie szarzeje... i obwiały go mgły i porwały chmury, utopił się w obłokach — znikł. Co tam się dzieje z tymi szczyty, w tych dolinach, gdy się one zakryją przed oczyma człowieka, Bóg jeden wie. Czasem nie widać ich długo, aż jednego poranku ów całun porwą wichry, i wstają Tatry obmyte, jasne, wesołe... jakby z wędrówki do niebios wróciły.

W jednej z tych podtatrzańskich wiosek, które żyją nie z ziemi ostygłej, ale z przemysłu różnego i wędrownej pracy... nad gościńcem, wijącym się obok wyschłego łożyska potoku, który powyrywał pokłady skał jakichś szarych, jakby ręką duchów w mur regularny poukładanych... stał na wzgóreczku drewniany kościółek, zbyt może na tę osadę obszerny, ale też kilku sąsiednim służący za parafią... Obok widać było plebanią z ogródkiem, a nad samą drogą, naprzeciw murowanej figury, w której wyżłobieniu stał posąg Zbawiciela, wznosił się wedle odwiecznego obyczaju szpital... dla dziadów i babek kościelnych. Odznaczał go wielki krzyż drewniany u drzwi, a w prawo i w lewo dwa

przedwieczne także obrazy mocno wyblakłe... Na jednym z nich artysta wystawił Łazarza napół nagiego ze związaną głową, któremu rany psy litościwe lizały; na drugim świętego Rocha w pielgrzymskim stroju, u którego stóp coś nakształt nieboszczyka żółtego niegdyś musiało istnieć, teraz została tylko plamą form nieoznaczonych. Szpital zresztą wyglądał wcale porządnie, miał przytykający doń ogródek wawrzywny i dzielił się sienią na przestrzał otwartą na dwie połowy, męzką i żeńską.

Nigdy mu nie zbywało na mieszkańcach, bo gdy jeden dziad zmarł lub babka skończyła życie, natychmiast zjawili się kandydaci do zajęcia posady, przez fundacyą któregoś z kolatorów domowych nader korzystnie uposażonej. Wiadomo było powszechnie, iż tu czterym szczęśliwym wybranym działo się dobrze, mieli ordynaryą i ogród, chleb, a że przy kościółku bywały odpusty i w kruchcie zajmowali miejsca uprzywilejowane, roboty zaś koło kościoła i posługi było nie wiele — trafiało się, iż po zmarłych szpital brał w spadku aż do kilku złotych...

Nieszczęściem ten dobry byt fatalnie wpływał na charakter mieszkańców szpitalu, który dawny proboszcz przezwał był Gospodą utrapienia — z powodu kłótni nieustannych i bijatyki nawet częstej pomiędzy babami i dziadami. Nie było dnia bez hałasu i swaru. Spory sądził organista, sądził proboszcz, czasem arendarz, a nigdy ich radykalnie odsądzić nie było podobna. Skończone wieczorem odradzały się rano z nową gwałtownością i zawziętością wzrastającą. Wieś nawet brała udział w kłótniach, sympatyzując wedle usposobień z jednem lub z drugiem stronnictwem. Proboszcz z tą gospodą utrapienia miał męczarnię nieustanną. Śmierć nawet nie mogła położyć tamy raz zaszczepionemu duchowi rozterki, kandydat nowy po kilku dniach poświęconych obeznaniu się z położeniem, podejmował po nieboszczyku pozostały spadek.

W chwili, gdy nam zajrzeć wypada do gospody utrapienia, była ona zamieszkana przez liczbę zwykłą ubogich. Dwie baby i dwóch dziadów — Dominikowa i Basia składały armią amazonek; niepoczciwie przezwany Hycel i Strzemeczny... drugą. Cała ta ludność szpitalna mimo nieudolności do pracy i różnych dolegliwości, z których się wylegitymować musiała dla przyjęcia, wyglądała wcale nie źle. Dominikowa podobna była do beczki otyłością, a do pieczonego jabłka cerą i kolorytem twarzy. Basia była chuda niezmiernie, skóra i kości, ale krzyczała za wszystkich, gdy w pasyą wpadła. W pasyą zaś wpadała kilka razy na dzień. Męczyzna zwany niefortunnie hyclem, a w przyzwoitszy sposób kulasem, chodził o jednej kuli, miał nogę skrzywioną, a mimo to zręczny był i zwinny niezmiernie. Strzemeczny bodaj czy nie stary żołnierz, który latem i zimą chodził w kożuchu, milczał, nie odzywał się nigdy, ale przyprowadzony do niecierpliwości bił bez miłosierdzia.

Ze wszystkich on może był najlepszym, i jemu też było poruczone moralne zwierzchnictwo nad tą rzecząpospolitą... dawał rady kulasowi, babom nigdy... Nienawidziły go, bały się, skarzyły nań bezustannie... i raz mu nawet jakichś grzybów nagotowały niezdrowych; ale Strzemeszny miał swoje sposoby, przechorował się i nie umarł. Od tej pory obudzał jeszcze większy szacunek w płci niewieściej. Miano go za człowieka, który coś zna — za czarownika.

Mieszkańcy wioski, przechodzący tego wieczora przed szpitalem, mogli być wielce zdziwieni fenomenem tak niezwyczajnym, iż by mu zaledwie wiarę dać można. Przed progiem bowiem tej gospody utrapienia stali w jedną kupkę zbici, szepcząc coś po cichu, wszyscy mieszkańcy jej... Dominikowa w chustce białej na głowie, Basia z fartuchem do twarzy podniesionym, kulas zażywający tabakę z rożka, i nawet Strzemeczny z pochyloną jak do pilnego przysłuchiwania się głową.

Rozmowa toczyła się pocichu, tajemniczo...

— Jakby doktor był albo cyrulik — mówiła Basia — możeby jego jeszcze odchuchali... ale my jemu rady nie damy... Gdzie do Zakopanego po cyrulika! Księdza nie ma, pojechał do drugiej wsi z panem Bogiem... organista na łące... a choć my niejedno ziele znamy... ale zkąd go tak prędko wziąć... On taki dójdzie... i tylko bieda z nieboszczykiem... póki pochowają...

— Jabym go była z gościńca nie brała do szpitalu... odparła Dominikowa — a co nam do tego!

— Ta! — rzekł kulas — a jakby się był ksiądz dowiedział... co by było!

— A co by miało być? toćby nie zjadł.

— I kto go wie, co to za jeden — paplała Basia... koszula na nim cienka... bawełniana... twarz biała... odzież miejska...

— Czy co gadał?

— Nie, ino jęczał... Pobity był strasznie... sińców a krwi więcej niż zdrowego ciała... a głowa-ć, miły Boże, jakby ją z moździerza wyjął...

— Nie chybi to te cygany, co się tu włóczyły!

— A no, pewnieć nie kto.

— I musieli go odrzeć?

— Kulas patrzał przy nim, nawet kaletki nie znalazł...

— Coby mu teraz po kaletce, kiedy lada chwila Bogu ducha odda...

Rozmowa podsycana przedmiotem, dostarczającym obfitego materyału do uwag i domysłów, byłaby pewnie się przeciągnęła długo, gdyby na gościńcu wózek nie zaturkotał.

— Otoż nie chybi Jegomość jedzie!

— On pewnie...

— Niechże Strzemeczny pójdzie mu odraportuje zaraz, żeby jeszcze biedy nie było — rzekła rozumna Basia — choćby go wydysponował na śmierć.

Milczący Strzemeczny nie lubił, ażeby mu coś radzono lub nakazywano; znajdował, że na własny użytek ma dosyć rozumu, na ten raz jednak zgodził się ze zdaniem Kasi i pociągnął ku plebanii, przed którą w istocie wózek się zatrzymał.

Kulas, Dominikowa i Kasia, pozostali przed szpitalem w oczekiwaniu dalszych wypadków, gdy po krótkiej chwili ksiądz złożywszy z siebie komżę i stułę, nadszedł niespokojny, prowadził go Strzemeczny już znowu po swojemu milczący... Proboszcz był młody jeszcze człowiek, zdrów i silny, energicznie wyrzeźbionej twarzy i jak przystało na ojca duchownego górskiej okolicy zahartowany; pominął kupkę szpitalną, która go pozdrowiła, i co najprędzej wszedł do izby...

Tu na tapczanie podesłanym słomą i narzuconym grubem prześcieradłem leżał człowiek — czy trup człowieka, okrwawiony, potłuczony, bezwładny. Zbliżywszy się dopiero dostrzedz było można, iż w piersi tej, okrytej poszarpaną jakby w gwałtownej walce odzieżą, biło jeszcze serce... Krew w części już poprzysychana okrywała ręce, skronie, broczyła suknie. Twarz była młoda, przystojna, ale znękana blada i wycięczona... Z sukni domyślać się należało, że nieszczęśliwy ów, jeźli nie należał do wyższych, jak je zowią, klas społeczeństwa, nie pochodził też i z ludu. Ręce miał nie zapracowane, płeć nie tak ogorzałą, rysy wyszlachetnione pracą ducha i spadkiem pokoleń może oderwanych od trudu bezmyślnego... Widocznie nie był to chłopak zamożny, ale musiał, jak teraz się to zowie, należeć do inteligencyi. Proboszcz potroszę był lekarzem, a namiętnie oddawał się we wszystkich wypadkach obowiązkom miłosierdzia, miał więc pewną wprawę i doświadczenie. Nie raz potłuczonego przywieziono mu górala, lub po bójce nieszczęśliwej jaką ofiarę karczemnego sporu... Kazał natychmiast przynieść ciepłej wody dla obmycia ran, posłał do plebanii po bandaże i szarpie, a sam nieodchodząc już zwolna badał znaki życia... Tymczasem kulas, który się przywlókł, opowiedział mu, że kobiety, które chodziły po grzyby, pierwsze postrzegły zbroczone ciało i dały znać do szpitalu; że oni czuli się w obowiązku pobiedz na niezbyt odległe miejsce, gdzie ono nad drogą w krzaki zaciągnięte leżało, że pobity człowiek ani słowa już odezwać się nie miał siły, gdy go znaleziono... i — nakoniec, że widziano w okolicy włóczącą się bandę cygnów węgierskich, która wedle wszelkiego podobieństwa musiała pepełnić na nieznajonym podróżnym morderstwo...

Proboszcz wysłuchał szczegółów z uwagą, pochwalił swoim podkomendnym ich gorliwość, a doczekawszy się wreszcie z plebanii przyborów i chłopaka, rozpoczął opatrywanie ran...

Wszystkie one pochodziły widocznie od tępych narzędzi, obuchów i kijów, parę tylko cięć zdawało się zadanych góralskim toporkiem... Głowa, ramiona, piersi, boki całe były w sińcach i krwawych stłuczeniach... a silne uderzenia w czaszkę musiały spowodować wstrząśnięcie nerwów i tę bezwładność chorego. Strzemeczny, który jako dawny żołnierz z rannymi nieraz miał do czynienia, i chłopak przybyły pomagali proboszczowi do obmycia i obandażowania nieznajomego, który zdawał się rozbudzać, jęczał i coraz wyraźniejsze dawał życia oznaki.

Proboszcz troskliwy o pacyenta kazał go z tapczanem ostrożnie przenieść na probostwo, a sam zaraz posłał po chirurga do Zakopanego. Zdawało mu się, że nim ten przybędzie, zwilżenie ust wodą, trochę ciepłego napoju nie mogło zaszkodzić a przyczyniłoby się do rozbudzenia życia. Wlano więc w usta ściśnięte kilka łyżek wody a potem rosołu. W istocie proste środki te zdawały się pomagać nieco tak, że symptomy życia coraz były wyraźniejsze... z czego proboszcz cieszył się niewymownie. Pobity jednak jęknąwszy, wymówiwszy kilka wyrazów usypiał znowu.

Nad wieczorem nadjechał chirurg, który tu w pustyni u stóp Giwonta zwał się już po prostu panem doktorem, a dla dawnych tradycyi fizykiem. Był to człowiek nie wielkiej nauki, ale ją zastępowało doświadczenie długie; jął się więc środków, których skuteczność była mu znana... Opatrzenie czaszki przekonało, iż kość nigdzie nie była uszkodzona, ale skóra poprzecinana i wstrząsnięcie bardzo możliwe. Wiedział przybyły, po co go wieziono; zabrał więc z sobą, co wedle wszelkiego podobieństwa posłużyć mu mogło, miał lekarstwa i spędził noc z proboszczem razem przy łożu chorego.

Młodzieniec ów, w którym doświadczony czytelnik domyślił się już łatwo biednego Zbigniewa, obudzał we wszystkich i litość i nadzwyczajne zajęcie; podróżni w tej porze roku wczesnej około Tatrów nie są zjawiskiem powszedniem, nie umiano sobie wytłumaczyć gdzie i po co zapuścił się biedak sam jeden bez przewodnika. Gdy się wieść o nim rozniosła po osadach sąsiednich, żyd arendarz z niedalekiej wioseczki przypomniał sobie, że młody podróżny, polak, ale mówiący nie po krakowsku, był u niego przed parą dniami, odpoczywał, a co dziwna rozpytywał o cyganów i o jakiegoś Dzęgę.

Ale co za stosunek mógł łączyć go z włóczęgami, trudno się było domyśleć. Dzęgę tego i po węgierskiej i na polskiej stronie znano z dosyć złej strony jako przywódzcę łotrzyków, którzy po gościńcach dokuczali. Posądzano go o parę zasadzek na pustynnej drodze, wiodącej przez kościelecką dolinę. Nigdy mu wprawdzie nie dowiedziono niczego... ale obawiano go się powszechnie. Przez niejaki czas nie było go widać, teraz znowu i on i parę gromadek cyganów zsunęło się z Węgier i koczowało u podnóża

Tatrów... To co dawniej nie zwracało zbytecznie uwagi, teraz z innej widziane strony zajmowało... Tu i ówdzie mówiono o Dzędze, przy którym miała być cudnej, nadzwyczajnej piękności cygańska dziewczyna, ubrana wedle ich obyczaju, ale bogato i wytwornie. Mówiono, że to była córka Dzęgi, gdzieś na Węgrzech wychowana, za którą dwóch Węgrów majętnych latało, a kto ją zobaczył, szalał...

Te i tym podobne historye z dodatkiem wszystkiego, co ludzka fantazya na najsłabszem rusztowaniu wieszać zwykła... krążyły po wsi... obijały się o probostwo, gdy w parę dni, za staraniem zacnego proboszcza i wprawnego chirurga, nieznajomy począł przychodzić do przytomności, odzyskiwać siły i mowę...

Lekarz zaręczył, że życie już zagrożonem nie jest, ale następstwa ran przewidzieć nie mógł. Umysł zdawał się cierpić od jakiegoś uszkodzenia wewnętrznego mózgu—symptomata te jednakże zwolna samą siłą młodości zabsorbowane zostały... Proboszcz nie był natrętnym w początkach, jakkolwiek ciekaw wielce wstrzymywał się od pytań; dopiero gdy Zbigniew podniósł się już oprzytomniawszy zupełnie, łagodnie o nazwisko, stan i przygody badać począł. Wymagał tego porządek sam, bo występku nie można było bezkarnie puścić... i należało choćby sprobować... jakiegoś sądowego dochodzenia.

Gdy się z tem odezwał ksiądz, Zbigniew zarumienił się mocno i począł go zaklinać na wszystko w świecie, ażeby z tego wypadku nie wysnuwano żadnej sprawy. Pod pieczęcią największej tajemnicy wyznał on proboszczowi... jeźli nie całą prawdę, to jakąś jej cząstkę, która przygodę mniej więcej tłumaczyć mogła. Przyznawał się, iż gonił za bandą cyganów ujęty wdziękami córki starego Dzęgi, że to ściganie ich rozjątrzyło na niego, i ostatecznie po kłótni, do której on dał przyczynę... został tak okropnie pobity... Proboszczowi dało to wcale nie szczególne wyobrażenie o młodym człowieku w takich stosunkach z cyganami zostającym. Wiele rzeczy nie rozumiał, wiele znajdował ciemnemi, ale chorego, póki potrzebował spokoju, drażnić nie chciał.

Rzecz w istocie miała się cale inaczej. Prawdą tylko było, że Zbigniew szedł w ślady Dzęgi, że parę razy się prawie z jego gromadką zetknął, ale Lenory ani starego nie widział. Cygani mieli swych szpiegów i powody do tego, by ich śledzenie i pogoń nie niepokoiły... Dowiedziawszy się o młodym człowieku, który włóczył się za nimi, dopytywał, śledził... domyślając w nim pewno jakiego donosiciela, szpiega czy urzędnika, nasadzili nań kilku silnych drabów i wprowadzonego w pustą dolinę niemal w śmierć pobili... za trupa już rzuciwszy, po odarciu z tego co miał przy sobie. Zbigniew dlatego nie wyjawiał całej prawdy, iż się lekał ścigania Dzęgi i tem samem Lenory, która z nim razem w ręce sprawiedliwości wpaść mogła. Pomimo to posądzenie na bandę było powszechne, urząd natychmiast w ślad za nią wyprawił... ale się dowiedziano, że już przebrać się na Węgry potrafiła...

Owocem całej podróży Zbigniewa, który Lenorę pragnął ratować, było, że omal życia nie stracił. Wyszedłszy z niebezpieczeństwa jednak, musiał pozostać w gościnnej plebanii, gdyż podróż była dlań niepodobieństwem. Dla proboszcza opatrznościowy to był i nad wyraz miły towarzysz.

W tym zakątku ciasnym, człowiek więcej ukształcony, zmuszony z poczciwym ale prostym ludem obcować, cały w sobie zamknąć się musi, i wszystkie myśli wznioślejsze go duszą, idey, z któremi się wynurzyć nie może, przygniatają.—Po długiem takiem milczeniu, rozmyślaniu, gdy się znajdzie ktoś co zrozumie, z kim myśl i słowo wymienić można, jakie to wielkie szczęście i jaka roskosz dla ducha. W tem położeniu będący proboszcz przywiązał się niezmiernie do poczciwego Zbigniewa, chociaż litując się nad nim podejrzywał go z błędnych i niejasnych wnosząc tłumaczeń o jakieś w życiu zboczenia; ale chrześciańską miłością ludzkie usterki osłaniał, spodziewając się poprawy. Dziwiło go niezmiernie, iż Zbigniew, na którego padały domysły dziwne konszachtów z cyganami, we wszystkiem innem okazywał mu się najszlachetniejszym młodzieńcem... Ze wszech miar był on dla niego zagadką.

Po węgierskiej Tatrów stronie, nieopodal od granicy i od drożyny, która mało komu znana wiodła przesmykami, wąwozami, po nad łożyskami potoków, krytymi chody wśród jodłowych gąszczy, w maleńkiej dolinie zewsząd osłonionej spadzistymi gór stokami, zębato wystającymi ku niebu... rozbity był mały obóz cygański... Składało go zaledwie osób kilka... stary Dzęga, który z fajką, oparty na łokciach, leżał za ziemi wyciagnięty milczący... z dzikim twarzy wyrazem, stara odarta chuda z rozpuszczonemi czarnemi włosy, płachtą obwinięta cyganka, chłopak napół nagi w kuczki siedząc przy wygasłem ognisku... i opodal na kamieniu zamyślona... dziewczyna.

W tej ostatnej najwprawniejsze oko nie byłoby poznało gwiazdy salonów warszawskich. Nowy całkiem strój na sposób cygański, chłód, powietrze, niewygody, niepokój, nie zgasiwszy nadzwyczajnej piękności tego oblicza zmieniły je i przekształciły, z dosyć oryginalnego w salonie czyniąc zjawisko poetyczne jakieś, dziwne, urocze wdziękiem, który daje cierpienie nad siły, egzaltując do szału...

Tych czarnych oczu dwoje teraz świeciły nie jak dwa dyamenty, ale jak dwie nocne pochodnie, które płoną ognia ostatkiem... W poruszeniu ust, zmarszczeniu czoła znać było walkę żywota jakąś i czuwanie bez końca...

Schudła, zczerniała, wydawała się zmęczona, ale jak żołnierz w boju rozgorączkowana razem. W tej chwili patrzała na szczyty gór, na lasy, w dolinę okiem obojętnem... znękanem... bezmyślnem, znać było, że dusza poszła gdzieindziej. Chłód wieczora dawał się czuć w osłoniętej dolinie... milczącej jak grób... Nawet lasy nie szumiały... Zdala potok jednostajnie jak zegar pustyni mruczał biegnąc po kamieniach... Różowe skał porosty wiały tu dziwną wonią fiołków, która czasem odurza jak jest silna... a czuć w niej jakby kruszczowego kwiatu zapachy... Mieszały się z niemi jodeł smolne wyziewy, i zapach traw i zgorzelizna ogniska, od którego dym przybity rozpościerał się po łące... Para koni, wyprzężonych z wozu, pasła się na łące i niekiedy prychaniem przestraszała... Na niebiosach złociły się chmury od słońca, którego promienie zwolna ze szczytów znikały. Szafir czystego nieba coraz ciemniał, wieczór nadchodził... Chłopak drzemał skurczony, stara cyganka znosiła gałęzie mrucząc... Dżęga zamyślony leżał...

Lenora, którą ojciec Zarą nazywał, siedziała przejęta chłodem długo, poczuła dreszcze i wstawszy zaczęła się przechadzać około wozu po dolinie... Osłonięta szeroką pasiastą oponą, która w ciężkich fałdach spadała strojąc jej postać wysmukłą, wydawała się wśród tych istot zdziczałych jak królowa... Ale na twarzy wypiętnowany był smutek niewoli... i doznanego zawodu... Nawykła do innego życia, napróżno z długich pieszczot, nałogów cywilizacyi uwolnić się chciała... słabła — czuła się chorą. I teraz po krótkiej przechadzce nogi zadrzały, tak że się o wóz oprzeć musiała. Stanęła przy nim zwiesiwszy głowę...

Wóz, który był składem mienia całej gromady teraz rozproszonej w górach i po osadach okolicznych, napakowany stał wszelkiego rodzaju łupem przemysłu cygańskiego. Oczy jej padły mimowolnie na te węzełki dziwne, odzieże podarte, sprzęty niezrozumiałe, żelaztwo bez wartości, łachmany bez barwy... Wśród nich nagle zatrzymało się jej wejrzenie, brew zmarszczyła... przestrach odmalował na twarzy... postrzegła wystający z zawinięcia okrwawionego mały... znany sobie dobrze pugilares. Przed kilku laty ona sama dała go ubogiemu chłopcu włożywszy weń zasiłek na drogę dla jego matki. Nie mogła go nie poznać, a poznawszy nie sięgnąć poń. Wiedziała wszakże, iż ją stara cyganka i młody chłopak szpieguje, i ze zręcznością instynktową krwi swej właściwą, zarzucając oponę na ramiona, uchwyciła... z bijącem sercem... tę zagadkową jakąś, jakby przez opatrzność przed nią rzuconą pamiątkę dni lepszych. Zkąd się ona tu wziąć mogła? Zara gubiła się w domysłach — ale pugilares był nieochybnie tym samym... Zeschł tylko i zczerniał obroczony jakby krwią, której się domyśliła na nim raczej niż ją poznała... Porwawszy go odstąpiła natychmiast od wozu, niecierpliwa była poznać co zawiera... ale wieczór już coraz opadał na ziemię ciemniejszy, ogień był wygasł i przy nim czytać było niebezpiecznie, schowała więc do jutra... Całą prawie noc niespokojna marzyła o pugilaresie, który na piersiach złożyła. Spała snem przerywanym... i cicha wiosenna noc ta wydała się jej jak wiek długą... Osłoniona grubą oponą, oparta o wóz... drzemała w marzeniach... Dżęga zawinął się w kilinek i usnął, chłopak okrył łachmanami i padł jak kamień na ziemię, stara w kłąbek zwinięta... chrapała... I nic nie było słychać oprócz szemrzącego strumienia, owego zegaru doliny...

Nareszcie gwiazdy pobladły... niebo zwolna zaczęło się rozjaśniać — chmury poróżowiały i przegnane wiatrem poszły dalej... szczyty gór oblały promieniem słońca... Zara mogła wstać... Dolina była oblana rosą ranną... na wyżynach mgły się plątały, czepiając po wierzchołkach lasów... a gdzie doszło słońce, dymiły opary białe... Wszystko spało jeszcze głębokim snem poranku... mogła więc odejść nieco i niepostrzeżona rozerwać pugilares... na którym po dniu czarna krew była widoczniejszą jeszcze... W środku jakby na potwierdzenie strasznych domysłów znalazła papiery świadczące, że należał w istocie do Zbigniewa... Ale zkąd mógł się on dostać do cyganów? Tę zagadkę wyjaśnił jej brulion listu przed dniami kilku pisanego, niedokończonego i włożonego do pugilaresu. List był do doktora; uwiadamiał go Zbigniew iż naostatek ślad gromady cygańskiej, w której Dżęga i Lenora być musieli, wynalazł, cieszył się swoim szczęściem, zbliżeniem do zbiegłej swej pani i nadzieją, że jej być może pomocą... Czytając list Zara rozpłakała się, chwyciła za rozpalone czoło, załamała ręce... i ledwie jęk rozpaczy mogła na ustach powstrzymać. Ta krew, ten pugilares dowodziły jej aż nadto jawnie, że nieszczęśliwy Zbigniew pochwycony być musiał, odarty, zabity może, przez kogo? przez tych opryszków bezdusznych, którym jej ojciec dowodził!!

Nogi zadrzały pod nią, zsunęła się na ziemię... Myśl ta, że Zbigniew padł ofiarą dla niej, że matkę opuścił i osierocił, piekła ją jak żelazem rozpalonem... kochała go jak brata... przywykła doń była jak do istoty wypielęgnowanej przez się... Była to dla Lenory największa strata, najboleśniejszy cios, jaki ją mógł dotknąć — a padł z ręki jeźli nie ojca (i tego pewną być nie mogła) — to przynajmniej jego towarzyszów i za wiedzą wodza, bez którego nic się nie działo...

W osłupieniu łzawem schowawszy papier i książkę nieszczęsną, pozostała tak zdrętwiała. Co począć było, co począć!

Siedziała długo w osłupieniu... słońce przez wąwóz między górami wdarło się na dolinę i długą smugą światła błysnęło oblewając ją... Ogrzana jakby tem promieniem rozbudziła się ze łzami na oczach... Ten ranek taki pogodny, ta wiosna otaczająca przypomniały jej dawne ranki

wiosny przeżyte i życie całe kołysane dłońmi najserdeczniejszej z matek...! pieszczoty losu w dzieciństwie jakby dla tego dane, aby po nich teraźniejszy dramat wydał się straszniejszym jeszcze.

Pusta dolina była obrazem jej życia, wsród którego stał ów obóz cyganski o białym dniu, odarty z uroku poezyi, z łachmanów okrwawionych i ubogiego woza złożony... z postacią ojca, do którego stwardniałego serca, duszy skostniałej, nawet pieszczone słowo dziecięcia przemówić nie mogło... Zbigniew broczący we krwi za to, że chciał jej przyjść w pomoc, zabity i odarty przez wspólników Dżęgi, jak widmo stał przed nią. Nie ocaliła ojca, a winną była jego śmierci... Nie śmiała spytać o niego. (C. d. n.)

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym."

V.

W STEPACH.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury,
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona.

Leży w naturze człowieka, że lubi przyzywać wspomnienią przygód swoich. Choć cierpkiemi były w rzeczywistości, przywdziewają one dla nas świąteczne sukienki, gdy już należą do lat ubiegłych, do historyi żywota na tej tu gospodzie doczesnej.

Lecz żeby owe szaty przeszłości naszej układały się w uroczą draperyą, potrzeba koniecznie, aby ta przeszłość miała młodość swoję z właściwą jej poezyą, gdyż siły moralne człowieka dłużej się zachowują, jeżeli je odświeżają estetyczne poczucia.

Nic nieznośniejszego, jak dojrzały mantyka, który z toku rzeczy musiał być kiedyś młodym, a nie miał młodości; podobnie jak nieprzyjemnym jest rok, co nam szczezł bez wiosny.

Bywa zaiste nieraz osierocona młodość — jak na przykład tylu a tylu rozsypanych na wygnaniu współbraci naszych — nad którą nikt nie czuwa; usiłują ją spaczyć samoluby, na jej odwagę i zapał dmuchają ludzie ciemni i chłodni; idzie ona przecież naprzód, kierując się pociągiem serca, przyswajając dla ducha swego jeno pokarm zdrowy, jak to czyni skrzętna pszczółka, osiadła na krzewie przesiąkłym trucizną.

Rozpacz, co jak skorpion zatapia swe żądło w duszy egoisty, rzadko owłada człowieka, któremu pozostały bogate zasoby z czasów jego wieku złotego; bo takiego serce nie da się porównać do pustego śpichlerza, po którym wspomnienia jak zgłodniałe myszy biegają.

Takiemu, chociaż niedola dni jego zachmurzy, choć się nań uzbroją pokusy i na ciężkie wystawią próby, przyjdzie na ratunek — niby przyjaciel stary — boski płomień dawnego natchnienia.

I znowu wyzwolony, siłą doświadczenia wzmocniony, wystąpi dzielny szermierz do zaciętej walki z przeciwnościami.

Gdy się nudzę samotnością, lub gdy towarzystwo zaczyna mi ciężyć, odwracam głowę od niego i spoglądam po za siebie, szukając pokarmu w obrazach, co jak wielka panorama przesuwają się z żywemi postaciami na widowni mej wyobraźni.

Czarowne to dumania! wdzięk tajemniczy duszy obcującej z sobą.

Oto w tej chwili bezbrzeżny step roztacza swe niezbadane cuda przedemną, dając obraz nieskończoności; ten sam step, który odrywając mię od zwyczajnych scen i błyszczącej nędzy światowej, zmuszał do rozmyślania i przyjęcia nieznanych w podniebiu europejskiem wrażeń.

Tak ślady stóp istoty ludzkiej, a nawet zwierzęcia, wyciśnięte na piasku w pustyni, były dla mnie częstokroć ważniejszem zjawiskiem, niż niegdyś najładniejszy bucik zgrabnej nóżki w salonie.

Jeżeli wyrazy: skała, strumyk, ruczaj, co w kamyki dzwoni, niebotyczne góry i bezdenne wąwozy—są poetycznymi, tedy step kirgizki po nad Uralem (gdzie upłynęły mi najtkliwsze lata młodości) ma inną, właściwą sobie poezyą — tęsknoty.

Tam bielące się kupy kości ze zwierząt i ludzi są jedynymi drogoskazami dla znużonego wędrowca; — tam tylko napotyka on gdzieniegdzie stare omszałe kamienie i domyśla się, że to groby nieznanych mu pokoleń.

Jakaż to różnica owej moskiewsko-azyatyckiej ziemi potępienia od stepu amerykańskiego, roztaczającego się nad rzeką Missisipi!

Pustynie na pozór podobne, atoli przeznaczenia ich różne.

Nad Uralem zgasła dawna wielkość, i z licznych grodów, siół i gajów, opiewanych przez historyków, dziś

najmniejszego śladu tam nie dostrzeżesz. Owa kraina miodem i mlekiem płynąca zatraconą została.

Nad Mississipi, przeciwnie, potęga w zarodzie!

Rozum jest strudzony, gdy na pograniczu Azyi zatapia się w badaniach, co mogło tam istnieć przed pięciu tysiącami lat? a w stepie amerykańskich Stanów Zjednoczonych nad tem, co się tam stanie za pięć tysięcy lat?...

Ten ostatni przedstawia rozległego obszaru, bo na przestrzeni 20,000 mil kwadratowych, warsztat do pracy. Ściągają doń drużyny emigrantów ze wszystkich części świata. Tam pług i ręka ludzka zamienia szybko pustynię w uprawne pola; a wyraz „łąka“ jest słowem magicznem, oznaczającem przyszłość, postęp, poezyą. Kolonista spogląda na nią z uśmiechem zadowolenia, gdyż obszedłszy się bez uciążliwego karczunku, oddycha wśród odkrytej przyrody wolno, swobodnie.

W nagim stepie kirgiz-kajsackim nie ma nic... nic, oprócz kiru pokrytego zżółkłym piołunem, rozciągającego się jak zblakła płachta pod twemi nogami, na którą patrzysz znudzony.

Z brzegów Mississipi słyszysz zgiełk nowych osad; widzisz pozakładane ogrody, chaty z tarcic i szałasy, stosy cegieł, mierników wytyczających linie, mnóstwo w rozmaitych kształtach i rozmiarach maszyn rolniczych; tudzież uwijających się ludzi, rozmawiających różnymi językami.

Tam wzrost i oświata, i przemysł tak żywotny, że ledwo powstał, już go znać. Aż miło popatrzeć na to mrowisko pracy i ogólnej pomyślności.

A pomyślność ta, ów dobrobyt, jest głównie wynikiem swobody praw i wolności osobistej, która każdy naród do prędkiego wzrostu prowadzi; gdzie każdy z pracowników-obywateli czuje się być samoistnym panem i ma to przekonanie, że swój byt i szczęście zawdzięcza jedynie Opatrzności i samemu sobie, i że praca jego nie idzie na marne — że ją nie wyssą podatki, ani uprzywilejowane osobistości.

Step zaś kirgizko-kajsacki jestto dno, zapadła kotlina wyschłego morza; kraina spetryfikowana, równa, milcząca, któraby nam jednak wiele strasznych tajemnic odkryła, gdyby mówić umiała.

Słowem, jestto pusta karta globu ziemskiego, na której z postępem cywilizacyi, przemysłu, handlu i rolnictwa zapisze najwyższa zasada zasad, Bóg, żywe słowo miłości bliźniego; lecz obecnie ujrzysz tam jeszcze, w ognistych baltazarowych głoskach, na każdym kroku przerażający napis: niewola — knut — i nienawiść!

A kto tam zaszedł, pożegnał się na zawsze z nadzieją, jak Dante u bramy piekielnej.

Tam ciąży przekleństwo niewoli; — tam kwitnie braterstwo jednego knuta; tam życie człowieka można nazwać migiem; a spodlenie rozchodzi się jak dżuma po zawojowanych plemionach wschodu, nie posiadających niestety dość siły moralnej, aby się oprzeć najazdowi.

Na tym cmentarzu bez granic, w tej okropnej kostnicy, strędowaciały ląd i piekło sprzęgły się z okrutnym samowładcą na oniemienie niedobitków, żywcem pogrzebanych.

Ani Spielberg, ani Botany-Bay, ni Kajenna, ni sławne więzienie celularne Cherry-Hill w Filadelfii, to jest: Austrya, Anglia, Francya i Ameryka razem wzięte, takby ich skryć i oniemić nie potrafiły!

Należę do rzadkich pod tym względem wyjątków. Udało mi się zdruzgotać kajdany siłą własnej woli, zerwać kaganiec z ust moich, i dumny z tego jestem; a krańce Moskwy, dokąd nie zagląda dla wrażeń nawet Anglik, zapalony turysta, jakoteż — dzięki najmiłościwszej opiece caratu — poźniejsze podróże z musu, ściganego losem, nasunęły mi niejedną z żywych ksiąg nowożytnych dziejów świata, jakich nie posiada żadna biblioteka, i w których żaden uniwersytet czytać nie nauczy, oprócz jednego profesora: pana D o ś w i a d c z y ń s k i e g o.

Pomimo to, nikt mi zapewne takiej platonicznej szkoły milczenia, odbytej o głodzie i chłodzie, przy łojówce blade rzucającej błyski na zrobaczywiałe ściany koszar, pod świstem knuta, nie pozazdrości ani zaprzeczy; ja też z mej strony podobnego nowicyatu nikomu nie życzę.

Z jakichże to niepojętych tkanek składają się częstokroć przygody małego ruchomego światka, zwanego człowiekiem? ileż to przedmiotów, okoliczności i wrogów wpływa na dramat jego żywota, na zbezczeszczenie relikwiarza jego świętych pamiątek i przekonań?

I gdzie jest, o wielki Boże! ta bezwzględna prawda, której od wieków szukają narody?...

Zdawałoby się, że jej wyłączne siedlisko nie tutaj; że chyba mieści się ona w całem wszechświecie, którego stanowimy zaledwie kruszynę; w całej wszechharmonii, której jesteśmy pojedyńczym dźwiękiem.

*
* *

Lubiłem wyrywać się z cuchnących koszar i biedz na pustynię, gdzie widok uroczysty ogromnej natury koił rozdrażnienie zrządzone niewolą. Surowa puszcza, swobodne w niej ruszanie się, zawsze to co innego, niż zapowietrzone koszary. Życie w stepie zawsze jest życiem, acz pustelniczem; w koszarach choćby duch się oparł, ciało podobnie jak w więzieniu ulega zgniliźnie.

Przyroda, jednostajnie spokojna w swojej wielkości, przelewa niekiedy ów błogi spokój do wnętrza biedaka, kładąc na rany jego duszy balsam jakiejś melancholicznej pociechy. Zdaje się wtedy nieszczęśliwemu, że żywot jego rozlewa się w całem wszechstworzeniu.

Lubiłem, zmuszony siedzieć w koszarach, w chwilach wolnych od musztry i warty, najczęściej nocną porą,

cucić się z otrętwienia, czyli raczej z namiętności nudów, za pomocą wyborowych książek, sprowadzanych potajemnie przez zdegradowanych na sołdatów kniaziów rosyjskich.

Zaprawdę, żaden suchy morał, żaden obrok czystoduchowny, nie byłby mię tak zachował od brudu niewolniczego błota, ile na przykład owe cudowne szyllerowskie postacie, z któremi razem żyjąc zaludniałem pustynię. Postacie te stały na straży przy mnie, niby aniołowie opiekuńczy. Im zaś więcej wyrabiał się mój smak estetyczny, tem obojętniejszemi były plugawe sceny odbywające się za plecami; gdyż ulatałem wtedy na skrzydłach porywającej muzy do krain, którym świeci dola szczęsna. Idealnej postaci Tekli Walensztejna zawdzięczam więcej, niżbym to mógł uczynić rodzonej siostrze, gdybym ją był miał przy sobie.

Zapisuję tu ten fakt z nieśmiałością, jako objaw psychologiczny nie bez pewnej doniosłości.

Iluż to bowiem młodych ludzi czczość i próżnia ich żywota doprowadziła na wygnaniu do zupełnego zwątpienia o Bogu, o rodzaju ludzkim i o samym sobie; dla których wyraz ojczyzna stał się równoznacznym z wyrazami: spustoszenie, mogiła; którym goryczą zapłynęły piersi, a z których wielu upadłszy na duchu chwytali się obrzydliwych środków w celu zagłuszenia mąk swoich, podobnie jak się chwyta jadu, będącego odczynnikiem innej, pożerającej trucizny?

I tak jedni topili swe bole w trunku, drudzy w rozpaczy i szpitalu, inni w idyotyzmie lub samobójstwie. Tak dusza znękana szarpaniną wewnętrzną, toczona ścierającemi się ostatecznościami, co jak upiory ją dręczą, upaść nakoniec musi. Trzykroć przeklęty, kto ją popchnął do tego upadku!!

Widziałem, jak na owej ziemi ucisku zbierało się w szwadrony, wolne niegdyś, a skarłowaciałe już Kozactwo, tudzież szczepy mongolskie, mające wyruszyć jako rezerwa na pomoc Austryi, dla pognębienia walczących za swą niepodległość Węgrów. Wtedy obraz Baszkirów o brunatnej cerze, ze spłaszczonymi nosami, zwierzęcej białości zębami, z ich dziwnie wstrętnym i przenikającym wzrokiem, dzikim instynktem zniszczenia, — obraz ten mówię zatarł rzeczywistość, a zdało mi się, że są to hordy Dżengizchana, spieszące na podbicie Moskwy.

Lecz cóż to za lament słychać z przed chaty Uralca? Młody Kozak, którego jeszcze zatrzymały kobiety, zanim popędzi za swym pułkiem, party żelazną rękawicą carską, siedzi na koniu u wrót rodzinnego domu. Przed wrotami stoi gromadka niewiast, w sukniach szczególnego kroju, i spiewa litanią pożegnania w wierszach nierymowych; a każda zwrotka tego przeciągłego, żałośnego psalmu, kończy się słowami:

„Czem my tobie zawiniły, batiuszka gosudar?“

Kozak siedzi nieruchomy i słucha ze spuszczoną głową. I rumak opuścił łeb i uszy, jak gdyby przeczuwał, że już nie wróci do tabunu swych czworonogich towarzyszy, z którymi się wychował.

Nagle pieśń ucichła, koń i jeździec puścili się cwałem i znikli pośród lasku, ocieniającego jak oaza wybrzeże Uralu.

Ostatni Benjaminek kozaczy pojechał tedy na wojnę.

I znowu w stannicy smętno, tęskno i pusto. Pozostały tam tylko białogłowy, dzieci i weterani, którym w nagrodę kilkodziesięcioletniej służby u „białego cara“ dozwolono umierać pod ojczystą strzechą z prawem — noszenia munduru.

Nadszedł wieczór. Miryady gwiazd, nakształt siatki szychowej, osiadły na niebie. Gdzieniegdzie głuchy szelest osamotnionej kępy krzaków, jakoteż przeraźliwe „słuszaj!“ wart moskiewskich, pobudzających się do czujności, przerywały martwej przyrody milczenie.

Tam po za rzeką, to już głębia Azyi z koczującym ludem Kirgizów, prawdziwych dzieci stepu. Szare namioty pojawiły się u brzegu, i migocą rozłożone przed niemi ogniska, a na ich tle ruszają się fantastycznie sylwetki ludzi i koni. Aliści przesuwa się i sznur wielbłądów, postępujących poważnie jeden za drugim, i gdzieś w zmroku ginie.

Natomiast widzisz przemykającą się czajkę po srebrzystych smugach Uralu, i zalatuje cię z niej tkliwy dźwięk gitary. To opuszczona mołodyca kozacza wydaje jęki na drzących pod jej ręką strunach.

Ujmij to wszystko w ramy, a będziesz miał śliczny obraz wschodu, w oryginalnym kolorycie, przypominający czasy patryarchalne, jakiś rozdział Biblii, a tak różny od naszego świata dzisiejszych pojęć i wyobrażeń.

Nazajutrz, gdy wyszedłem na przechadzkę, już nie słychać było gitary, znikła też karawana, niby senne widziadło, i znowu nad Uralem głusza na puszczy bezbrzeżnej!

VI.

PRZYGODA Z KOZACZKĄ.

> Gdy będę na posieleniu,
> Pojmę córeczkę Tatara,
> Może w dzikiem pokoleniu
> Zrodzi się Palen na cara.

Pewnej pięknej nocy, gdy księżyc tak wielki, o jakim nie mają wyobrażenia mieszkańcy zachodu, wychylił z po za szmaty chmur pełne oblicze, siedziałem na schodkach przed koszarami, przemyśliwając wedle zwyczaju nad tem, jakby uciec Moskalom. Zdawało mi się, że mam ogień w głowie, tak mię owe nieustanne mrzonki wydobycia się z kleszczy nieprzyjaciół moich utrudziły. Kiepsko zemną — mówiłem sobie — coraz dalej to gorzej...



Rysunek J. Kossaka do dumy Zaleskiego o hetmanie Kosińskim. *(Str. 298.)*

przyczepili się jak jazwa do człowieka... O! nazwiecie mię „krugom durak“, jeżeli wam nie czmychnę.

I mierzyłem pięćset-milową przestrzeń dzielącą mię od Europy, przenosząc się myślą na ziemie wolne, szczęśliwe, gdy gefrejter, mój nauczyciel musztry, daje znać, że jakaś pani ma do mnie interes i czeka na błoniu za wałem otaczającym miasto — u wyłomu.

Zdziwienie me było wielkie. Lecz wówczas przyjąłbym nawet chorobę, gdyby mię nawiedzieć raczyła dla rozerwania zabójczej jednostajności nudów; a cóż dopiero istotę rodzaju żeńskiego, co czekała na błoniu!

Zwijam tedy co tchu bałwana, kładę go i nakrywam płaszczem na miejscu, gdzie spać powinienem, aby oszukać przezorność kapitana, jeżliby mu przyszła chętka zjechać niespodzianie i rachować, jak trzodę, boży ludek spiący na podwyższeniu z desek; a sam uzbrojony bagnetem puszczam się na nocną awanturę. Co będzie, to będzie!

Zziajany szybkim chodem, przybyłem bez przypadku na punkt oznaczony i — zdumiałem.

Wysokiego wzrostu, szczupła, lecz o zaokrąglonych konturach ciała, wspaniałej postaci, smugłej twarzy brunetka stała przedemną; czarny puszek zarysował jej zlekka wąsiki; spojrzenie miała dumne i nos orli—piers jak z marmuru. Słowem, postać typowa azyatycka, w której się przebijało zdrowie i siła pierwowzoru Ewy.

Strojną była w ponsowy z jedwabnego adamaszku „sarafan“, gatunek tuniki długiej po kostki, kolistej, z której wychodziły szerokie z białego muszlinu rękawy od koszuli. Sarafan od szyi do dołu był spięty na rzęd guzików, naszytych na złocistym galonie koronkowej roboty, i miał takąż przepaskę. Od jej zawiązki spływały długie końce jaśniejące frenzlą.

Cała ta postać na pustyni, wśród drżących promieni księżyca, cała ta Prozerpina z jej diablęcą fizyognomją, a strojem podobnym do wdzięcznej draperyi, jaką przyodziewają malarze błogosławione i święte niewiasty, miała coś niewymownie imponującego, coś z Tysiąca i Jednej nocy powieści arabskich. I zjawiła się cudem, jak na potarcie lampy Aladyna, jak gdyby spadła z jakiegoś nieznanego płanety.

I pomimo, że już nie obcy mi był widok Uralek, ujrzałem się w ambarasie, nie wiedząc, jak ją powitać. Czy jako zwyczajną Kozaczkę? czy też jak zaczarowaną księżniczkę, lub stepową rusałkę?

Ale tameczne córy przyrody nie znają się na etykiecie, nie potrzebują przywitań. Są one proste, jak natura, będąca ich macierzą; dzikie i popędliwe, jak ich rumaki; śmiałe, jak sępy pustyni; a zabobonne, jak fanatyzm moskiewski...

Moja Prozerpina zmierzywszy mię sokolim wzrokiem od stóp do głowy, zwróciła się do księżyca, a skłoniwszy mu się kilkakrotnie z przeżegnaniami, westchnęła i zawołała: „Hospodi, prosti moje sogreszenje!“ Co się po polsku tłumaczy: Panie, przebacz grzech mój!

Nastąpił przestanek.

— Pajdiom, polskij dworjanczyk! — rzecze potem do mnie — kakoj ty nieżnyj! kakoj ty bielińkij! (Pójdźmy, polski szlachetko!... jakiś ty delikatny! jakiś ty bielutki!)

Zrozumiałem, że mam do czynienia z czystej krwi mołodycą rycerskiego szczepu Pugaczewa, należącą do sekty starowierców — jak one tam wszystkie — która przepraszała Boga za schadzkę z poganinem, jakkolwiek Polakiem; bo o Moskalach nie ma co i mówić, w żaden sposób nie mogą oni przyjść do reputacyi na Wschodzie — zwłaszcza u swych sąsiadek.

(D. n.)

DUMA O HETMANIE KOSIŃSKIM

J. B. ZALESKIEGO.

Hop, hop, cwałem koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony.
Dłużej chwilką
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ.

Od Piatyhor, Pawołoczy
Bieży tłumnie lud ochoczy;
Nalewajki
Lotne czajki
Płyną Dnieprem już.

Wnet pospieszą regestrowi
Ku odsieczy Czechrynowi;
Przy rozgłosie
Dum po rosie
Przypuścimy szturm.

Zagra ziemia pod kopyty,
Proch pomiecie słupem wzbity;
Urah! głosy
Pod niebiosy
Wzlecą z brzękiem surm.

Ho, ho, darmo — nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepię.
Jak się biją,
Gdzie się kryją,
Znam jak murza hord.

Umiem znagła wpaść na karki,
Rąbać szablą, grzmieć z janczarki,
W lewo w prawo,
Szybko, żwawo
Nieść ogień i mord.

Widać, widać już Stawiszcze,
Wiatr w chorągiew miasta świszcze,
Daszka szyki
Brzmią okrzyki,
Biją dzwony z wież.

Dniowa gwiazda, chmurna blada,
Za krzywiecki las zapada.
Wrony koniu,
Po tem błoniu
Prędzej, prędzej bież.

Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały,
Widna moja
Złota zbroja,
Sokół, chart i koń.

I ot stoi tam u drzewa
Moja młoda czarnobrewa;
Piękne oczy
Łzami moczy,
Załamuje dłoń.

Łez i oczu żal się Boże;
Cóż łamanie rąk pomoże,
Kiedy wola
Sejmu, króla
Każe bić się nam?

Wolniej, wolniej, koniu hyży,
Niech się luba moja zbliży,
Stój, stój chwilę,
Niech się schylę,
Pocałunek dam.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga,
Śmierć i życie w mocy Boga;
Proś Go lepiéj,
Niech pokrzepi,
Natchnie męztwem nas.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga,
Wrócę zdrowy — w łasce Boga,
Przez las dołem,
Z psem, sokołem
Wrócę w ranny czas.

A gdy spiącą cię zastaniem,
Zbudzę głośnem całowaniem,
Klasnę, świsnę,
Zbroją błysnę,
Z czoła otrzesz znój.

Nie płacz, nie bluźń, czas upływa.
Bądź mi zdrowa i szczęśliwa.
Próżne słowa!
Bądź, bądź zdrowa!
Dalej, koniu mój!

WOŁOSKA CERKIEW.

Wielu z Lwowian nie wie, zkąd się wzięła nazwa tego kościoła. Najbardziej rozszerzoną jest tradycya, że wystawił ją pewien Wołoch nazwiskiem Korniakt, osiadły we Lwowie.

Jak we wszystkich tradycyach, tak i w tem jest trochę prawdy, a wiele błędu.

Wołoską nazywa się ta cerkiew dopiero od XVII. wieku, w którym budowa jej ukończoną została, a nazwano ją tak, bo wystawioną została pieniądzmi i staraniem wołoskich hospodarów.

Tegoczesnego widza zadziwia to i razi nawet, że gmach tak okazały, że świątynia jedna z najpiękniejszych we Lwowie, stanęła do jednego szeregu z innymi zwykłymi domami i stanowi róg ulicy, jednej z najbardziej zaniedbanych, brudnej, wązkiej i zgiełkliwej. Zwłaszcza zastanawia dzisiejszego widza to, że kościół ten nie stoi frontem do placu, który się przed nim szeroko rozłożył, i na którymby bardzo okazale mogła cerkiew panować.

Komu jednak wiadomo, jak uszczuplone było terytoryum dawnych miast, jak musiano się ścieśniać i oszczę-

dzać miejsca, aby się zmieścić w szczupłych murach fortyfikacyi, tego niedziwi to, że kościół jeden i drugi (bo podobnież stoi kościół jezuicki) mieści się jako szeregowiec między zwykłymi domami.

Między jezuickim kościołem a wołoską cerkwią jest ta różnica, że tamten stoi przynajmniej frontem do placu dykasteryalnego, a z drugiej strony ma przed sobą plac świętego Ducha. Jest więc bardziej przystępny oku widza.

Do wołoskiej cerkwi wchód od ulicy, właściwego frontu nie ma ona, a do placu obrócona jest tylko część gmachu. Tłumaczy to się tem, że wtedy, gdy cerkiew tę budowano, Lwów był murem otoczony i właśnie za cerkwią już kończyło się miasto.

A jednak budynek jest godzien tego, aby się przedstawił oku w całej okazałości swojej.

Jestto gmach obszerniejszy, niż się na oko wydaje. Należy wejść do wnętrza i rozpatrzyć się w rozległych podsieniach i obszernym ze wszystkich stron zabudowanym dziedzińcu, aby się przekonać, że wcale nie tak szczupłą i ograniczoną jest ta cerkiew, jak z zewnętrznego jej przytulenia się do rogu ulicy wnioskować można.

Odznacza się ona, jak już zauważał Fel. Łobeski*), piękną architekturą i wielkiem tak co do głównych kształtów jak i szczegółów wykończeniem. Należy ta cerkiew do owych nielicznych już teraz budowli, wystawianych od fundamentu aż do szczytu z ciosowego kamienia.

Ponuro a przecież wspaniale pogląda gmach ten, którego starych ścian nieskalała przynajmniej dotychczas źle zrozumiana elegancya nowożytna (jak to się stało na katedrze łacińskiej przez pomalowanie świeżą barwą). Sztukaterye i płaskorzeźby liczne tak wewnątrz jak zewnątrz zdobią ten gmach. Wieża wysmukła i dosyć wysoka, oraz śmiała postawa budowli przypominają cokolwiek styl gotycki. Wszelako nie jestto gotyka, bo już wedle przeznaczenia swego, jako cerkiew obrządku wschodniego, musiała się stosować do byzantyńskiego stylu. Owe niezbędne trzy kopuły i odpowiednie tymże wklęsłe sklepienie, jakoteż inne znamiona byzantyńskiej architektury zmieszały się tu z gotyckiego stylu cechami, które snać natrętnie się architekcie w myślach nasuwały, gdy stosownie do wymagań założycieli musiał się trzymać wzorów bizantyńskich. Z tej walki dwóch stylów powstał gmach mieszanych cech, zupełnie jak mieszane były wyobrażenia twórców tej cerkwi o architekturze. Cerkiew ta stawiana na schyłku architektury gotyckiej a w początkach rozwijania się włoskiej, ma obok cech bizantyńskiego stylu i tamtych obydwóch znamiona. Mianowicie do pierwszego rodzaju znamion należy obok stojąca wieża, do drugich pewne zewnętrzne upiększenia.

Nic też dziwnego. Pierwsze posady tego gmachu położył Włoch, którego akta miejskie nazywają Pawłem Rzymianinem. Jego dziełem wraz z innymi jest dzisiejsza cerkiew, ale niech nam wolno będzie rzucić okiem w czas odleglejszy i przypomnąć dzieje cerkwi tej, jeszcze nim stanęła w dzisiejszej swojej postaci.

Pod r. 1399 znajduje się w aktach miejskich pierwsza wzmianka o cerkwi ruskiej, między murami leżącej. Cerkiew ta powstała prawdopodobnie wtedy, gdy Lwów po zajęciu go przez Kazimierza W. przeniesiony został z dawnego swego miejsca, między dwoma zamkami na to miejsce, które dziś zajmuje. Istniał już wtedy kościół metropolitalny św. Jura, ale w mieście samem, nowo założonem araczej przeniesionem na dzisiejsze swoje miejsce, powstawały i powstawać musiały nowe kościoły. Mamy pewność, że w owym czasie założona została dzisiejsza katedra łacińska, (w XIV. w.) katedra ormiańska, odbudowano kościół św. Jana, a w mieście, z powodu oddalenia od katedry wschodniego obrządku, wybudowano zapewne owę drewnianą cerkiew, o której pierwszą wzmiankę znajdujemy w r. 1339.

Ubolewać należy, iż nie jest dla nas przystępnem archiwum stauropigialne i kronika tej korporacyi pozostająca w rękopisie, bo moglibyśmy dokładnie tu podać szczegóły o dziejach tego kościoła. W niedostatku tego źródła musimy się ograniczyć na tem, co można było zaczerpnąć z aktów miejskich.

Wśród bardzo częstych podówczas pożarów niewątpliwie zgorzała owa drewniana cerkiew i powstała na jej miejsce murowana. Kiedy i jak? nie mamy wiadomości. To wszakże pewna, że kiedy w r. 1527 miasto Lwów nawidził okropny pożar, który prawie całe miasto w perzynę obrócił, to wtedy istniała już cerkiew murowana.

Pożar ten wszczął się, jak kronikarz opisuje, w browarze naprzeciwko Franciszkanów, gdzie teraz dom pod l. 39 stoi. Wiatr był zachodni, dachy od upału mocno wysuszone, więc pożar szerzył się bardzo szybko w dwojakim kierunku. Ogarnął on z jednej strony ulice piekarską (teraz akademicką), krakowską i ormiańską w jednym, a zamkową (teraz długą) i szewską (teraz dykasteryalną) w drugim kierunku. W mieście złączyły się te dwa prądy i zniszczyły nie tylko co było wśród murów, ale gdy wiatr się zwrócił ku północy wyrwał ognistą głownię z wieży palącej się nad bramą krakowską i zaniósł pożar na wysoki zamek a z tamtąd na Zniesienie. Pogorzało w mieście wszystko prócz kościoła i klasztoru Franciszkanów, które to gmachy prąd wiatru ominął, oraz ratusza i wieży miejskiej, która stała wśród rynku. Szkody były ogromne, ludzi i bydła wiele poginęło, a miasto tak było opustoszało, że znaczna część mieszkańców zamyślała całkiem je opuścić i gdzie indziej siedlisko swoje założyć.

Ojcowie miasta zaczęli odradzać i przemawiać do miłości ojczystego gniazda; jakoż ta miłość wkońcu

zwyciężyła, i postanowiono Lwów nanowo odbudować. Tak można powiedzieć, że w r. 1527 Lwów po raz trzeci nanowo został założony.

W tym tedy pożarze zostały i mury cerkwi tak dalece uszkodzone, że ją na nowo budować musiano. Wystawiono małą murowaną cerkiewkę. Szczupły ten przybytek, z ubogich funduszów wybudowany, nie odpowiadał potrzebom parafian. Ale ubóstwo niedozwalało zdobyć się na wystawienie okazalszego gmachu.

Jak wielkie musiało być ubóstwo parafian lwowskich wschodnio-słowiańskiego kościoła, dowodem tego najlepszym, że pokrycie dachu na nowowybudowanej cerkwi stało się możliwem tylko przez wsparcie Alexandra hospodara multańskiego, który część jej miedzią pokryć kazał.

Obok tej cerkwi postanowił zamożny mieszczanin, Dawid Rusin, wybudować wieżę. Poświęcił on na to swój majątek i zgodził do budowania majstra Piotra Krassowskiego. Było to w r. 1567. Po dwóch latach pracy, gdy już wieża doszła do znacznej wysokości a fundator wyłożył na nią około 3.500 złotych, zawalił się cały gmach z powodu źle założonych fundamentów. Majster Krassowski został oddany pod sąd i ukarany, a założyciel Dawid tak się tym wypadkiem zmartwił, że ze zgryzoty umarł.

Było to wielką klęską dla bractwa cerkiewnego, które było tak ubogie, że nawet swego „p o p a“ (jak go nazywają urzędowe akta) nie mogło należycie dotować, i ten musiał dla swego utrzymania zawsze jakiemś rzemiosłem się trudnić. Tak o jednym wiadomo, że był krawcem, inny łatał obuwie swoim parafianom, a popadia sprzedawała cebulę.

Zmartwienie bractwa zostało wkrótce ukojone. W tym samym jeszcze roku, kiedy się wieża owa niedokończona zawaliła, znalazł się nowy fundator, K o n s t a n t y K o r n i a k t, który natychmiast gruzy wyprzątnąć i nowe fundamenta założyć kazał.

K o n s t a n t y K o r n i a k t był z pochodzenia Grekiem, rodem z wyspy Krety.

Gdy Lwów utrzymywał w owych czasach rozległe stosunki handlowe z Grecyą (podobnie jak z Włochami i Francyą), więc wielu Greków osiadało w tem mieście. Do tych należał Korniakt, który posiadając bardzo znaczny majątek, niemałe poniósł ofiary dla swojej nowej ojczyzny, wskutek czego otrzymał za króla Stefana nawet indygenat szlachecki. Rodzina jego wygasła już w trzeciem pokoleniu.

Temu tedy protoplaście Korniaktów w Polsce zawdzięcza do dziś dnia istniejąca wieża przy cerkwi wołoskiej swoje istnienie.

Rusini lwowscy, którym królowie Zygmunt August w r. 1572, Henryk r. 1574, Stefan r. 1577 nadali przywileje równe z przywilejami innego obywatelstwa miasta Lwowa, pragnęli też mieć i odpowiedni swemu stanowisku dom boży wśród miasta i bractwo swoje podnieść do większego znaczenia.

Udało się wkrótce jedno i drugie.

Bractwo zostało uorganizowane, a do wybudowania nowej cerkwi przyczynił się znacznie Piotr, hospodar multański.

W r. 1586 przybył do Lwowa gość, którego obecność mocno obchodziła Rusinów a zwiastowała im polepszenie stanowiska. Był to patryarcha jerozolimski, J o a c h i m. Osiadł on przy cerkwi miejskiej, nadał bractwu ustawę i założył szkołę.

Równocześnie bawił, nie we Lwowie wprawdzie, ale na Rusi, drugi patryarcha carogrodzki, J e r e m i a s z. Ten zatwierdził owę ustawę, przepisaną dla bractwa ruskiego we Lwowie. Bractwo zostało wyjęte z pod władzy lwowskiego biskupa a poddane wprost władzy metropolity w Kijowie, albo też samego patryarchy carogrodzkiego. Znalazło z tego powodu bractwo wielkiego przeciwnika w biskupie, którym był podówczas G e d e o n B a ł ł a b a n, i przyszło aż do czynnych zatargów. Biskup wyklinał bractwo, a to kapłana z ramienia biskupa zesłanego zrzuciło z ambony i nie chciało innych księży zwierzchnictwa uznawać, prócz tych, których samo obrało. Przyszło do zbrojnej walki, gdy biskup chciał monaster św. Onufrego odebrać najazdem, a parafianie oparli się temu z bronią w ręku. Księży obranych przez bractwo cerkiewne kazał biskup więzić, i rada miejska musiała się wdać w tę sprawę. Wkońcu rozstrzygnięto ten spór na synodzie w Brześciu na korzyść bractwa, które odtąd miało zarząd cerkwi i monasteru św. Onufrego niezależnie od biskupa a pod zwierzchnictwem metropolity kijowskiego, z prawem stanowienia w cerkwi proboszczów a przy monasterze ihumenów. Do tego zarządu należały także szkoła, szpital i drukarnia.

Mając tak ustalone istnienie i zakres działania znaczny sobie przyznany, pomyśliło bractwo o potrzebie większej nowej cerkwi. Doznawszy już raz pomocy od hospodarów multańskich udano się ponownie do ówczas panującego hospodara multańskiego, P i o t r a.

Hospodar okazał się tak dalece uczynnym, że część dochodu z ceł na Multanach pobieranych przeznaczył na wymurowanie cerkwi, a zarazem wstawił się u króla Zygmunta, aby Rusini w stawieniu tej cerkwi przeszkody nie mieli. Co do tych przeszkód, to stawiał je nie kto inny Rusinom, tylko własny ich biskup. Bractwo przybrało odtąd nazwę s t a u r o p i g i a l n e g o, co oznaczało jego niezależność od biskupa. Bractwo zachęcone przez pomoc hospodara a zobowiązane przez metropolitę, M i c h a ł a R o h o z ę, do wystawienia nowej większej cerkwi, otrzymawszy od Zygmunta III. zatwierdzenie ustawy nadanej przez patryar-

chów i synod brzeski, wysłało w r. 1593 do cara moskiewskiego Teodora Iwanowicza deputacyą ze swego proboszcza i trzech świeckich towarzyszów złożoną o wsparcie na wybudowanie cerkwi.

Car obdarzył ich pięciu sorokami (200 sztuk) soboli, pięciu sorokami kun, 50 dukatami węgierskimi i 20 rublami srebrnymi.

Zaczęto więc budowę nowej cerkwi. W r. 1599 była ona znacznie postąpiła, a nowy hospodar multański, Jerem, przysłał znowu 500 dukatów (czyli 1000 zł. ówczesnych). Nie przestał wspierać budowy i Konstanty Korniakt, który umierając w r. 1603 zapisał na rzecz cerkwi 2000 zł. na Zboiskach, 2000 zaś na monaster świętego Onufrego.

Wśród rozlicznych trudów i przeszkód została nareszcie w r. 1626 ukończoną budowa cerkwi. Trwała więc cała praca około niej przez lat 30, a ponieważ wystawioną została głównie za pieniądze hospodarów multańskich, więc ztąd pochodzi nazwa cerkwi wołoskiej. Hospodarowie, którzy się głównie przyczynili, byli z rodziny Mohyłów (Jeremi, Paweł, Szymon). Architekci, którzy kierowali budową, byli oprócz wspomnianego Pawła Rzymianina (w r. 1591), poźniej teść jego Wojciech Kapinos, lwowski mieszczanin i Ambroży Przychylny, Włoch rodem, który zostawszy mieszczaninem lwowskim po polsku się przezwał, (podobnie jak jego współziomek także budowniczy, który się nazwał Adamem Pokorą).

W kopule umieszczono cztery kamienie z napisami cerkiewno-sławiańskimi wysławiającymi Zygmunta III., wojewodę multańskiego Mirona Barnawskiego Mogilę, cara i wielkiego kniazia „Moskwo-Rossyi“, nareszcie wojewodów multańskich Pawła Jeremiego i Symeona Mogiłów. Na tych kamieniach wyrzeźbiono prócz napisów herby: polski, multański i moskiewski. Miron Barnawski sprawił dla cerkwi kosztowne ubiory i inne przybory i zesłał na wyświęcenie cerkwi archimandrytę multańskiego. który wspólnie z biskupem Jeremim Tyssarowskim odprawił uroczystość poświęcenia we dwie niedziel po święcie Bohojawłenia pod wezwaniem wniebowzięcia N. P. Maryi.

Mury nowo wybudowanej cerkwi zostały przyozdobione malowidłami pęzla niejakiego Mikołaja Pietrachnowicza, Rusina.

Co się tyczy artystycznej wartości wewnętrznego przystrojenia cerkwi, idziemy w sądzie o tem za zdaniem Fel. Łobeskiego, który był w tych rzeczach ze wszech miar słusznym sędzią. Pisze on jak następuje:

„Co do wewnętrznych swych ozdób i wogóle dawnych rodzimej sztuki złożonych tu zabytków, cerkiew niniejsza, jako oddawna zamożna i dość wczesnych sięgająca czasów, a nietknięta dotąd żadnem prawie zniszczeniem, przechowuje ciekawe pamiątki. Jej ołtarze nie uderzają wprawdzie bogactwem i okazałością, są barwy ciemnej, gdzieniegdzie ze złoceniem, lecz czystej włoskiej struktury, a snycerskie roboty dość obfite i staranne. Obrazy zaś w nich umieszczone, już dla swej ogólnie starożytnej cechy, jakoteż i jej odpowiedniej wartości, w znacznym stopniu na siebie zwracają uwagę. Tak Sobieszczański jak i Rastawiecki, pierwszy w „historyi sztuk w dawnej Polsce“, drugi w „słowniku malarzy polskich“, wspominają o obrazach nieposlednie wartości Mikołaja Pietrachnowicza, mających się znajdować w ołtarzach cerkwi wołoskiej we Lwowie. Wśród wielu dosyć na owe czasy znamienitych malowideł, które się tu w ołtarzach i zawieszone po ścianach kościoła znajdują, trudno teraz rozpoznać i dopytać, które z tych obrazów są właściwie pęzla Pietrachnowicza, zwłaszcza gdy wiele z nich zdają się być jeszcze wcześniejszymi utworami niż z początku XII wieku (kiedy Pietrachnowicz żył), i mogą być uważane jako zabytki z poprzednich czasów, a zatem jako bardzo dawne pomniki grecko-krajowego kunsztu.“

Stała cerkiew nienaruszoną, odbywały się wśród niej i koło niej rozliczne sprawy dotyczące bractwa; spór między bractwem a biskupem trwał długo i przychodziło do zajść gwałtownych. Zdarzenia te jednak należą do dziejów bractwa a nie do dziejów cerkwi, o której tylko tyle nadmienić wypada, że po przejściu biskupa Szumlańskiego na unię w r. 1700, przeszła w r. 1708 i cerkiew pod zwierzchnictwo rzymskie i przemieniła się w cerkiew unicką; było to już za biskupa Barlaama Szeptyckiego. Skutkiem tego zostali Rusini w r. 1708 przypuszczeni do równości we wszelkich prawach obywatelskich z innymi mieszczanami.

Wieża potrzebowała restauracyi po wytrzymaniu oblężenia tureckiego w r. 1672, mianowicie nowego dachu i wewnętrznych części drewnianych. Mury zostały w dawnym kształcie.

Cerkiew więc stauropigialna, pospolicie zwana wołoską, pogląda na miasto od półtrzecia wieku już w niezmiennej postaci i tylko w drobnych akcydensach zaszły zmiany. Mianowicie ku wielkiemu żalowi parafian jakoteż mieszczaństwa w ogóle zdjęto w tym wieku grubą pozłotę z kopuł cerkiewnych, którą to pozłotę zakupili żydzi u bractwa jak wieść niesie za 1000 dukatów.

Budowa cerkwi jest tak silna i trwała, że spodziewać się można, iż jeszcze wieki przetrwa, jako jedna z ozdób celniejszych miasta.

K. Widman.

ZDZISŁAW.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Z OPOWIADANIA SKREŚLIŁ

WIKTOR B....

Któż nie czytał lub nie słyszał o strasznych klęskach, jakie poniosło wojsko francuzkie w przeprawie przez Berezynę, w opłakanym, litość budzącym odwrocie niedobitków potężnej armii?

Z genialnym swym wodzem na czele, zwycięzkim przedtem ciągnąć pochodem, wracała w porozbijanych oddziałach zniszczona mrozem i głodem armia, odwrót swój znacząc trupami napół śniegiem zasypanymi. Przy trupach wojowników śnieżna zawieja piętrzyła się nad zdemontowanemi działami, obalonymi furgonami, poza którémi leżały konie ze sterczącemi nogami, wyszczerzonymi zębami — ubrane w siodła i zaprzęgi — bo tego nikt nie brał. Natomiast ludzkie ciała były obnażone, i rodzony brat ściągnął z brata ubranie, ba! nawet koszulę — bo czego Berezyna nie pochłonęła, czego głód, niedostatek i kozacka dzida nie dokonały, to mróz trzaskający i szalejący wicher śnieżną suchą zawiejką kładł po drodze z stężałymi członkami na wieczne odpoczywanie.

Więc przed tą mroźną śmiercią chronił się każdy i zasłaniał jak mógł. Ściągano ubranie z trupa co rychlej póki nie stężał, póki nie zamarzł — bo za chwilę ani sposób! bo jak sztabą żelaza wyprężyły się ręce i nogi, i wtedy odzienia zdjąć już nie można, a odzienie to rzecz bardzo ważna, potrzebna dla drugiego. Ej gdzie tam! dzieliło się niem kilku.

Więc zaledwo pochylił się towarzysz i oczy jego bilmem zachodziły, już nieszczęśliwego szarpano i obdzierano bez litości. Kto pierwszy dostrzegł umierającego, porywał co najcieplejsze z ubrania, i nieraz przy umarłym zaciekła powstawała bitka; a nie jeden silniejszą odepchnięty dłonią, już się nie podniósł, i choć zebrał za chwilę siły, już nie zdążył za oddziałem, bo brnął w śniegu idąc za śladem. Lecz i ślady niebawem wiatr zawiał. Wtedy stanął i wołał; ale cóż to głos jego w porównaniu z wichrem świszczącym? Patrzał zrozpaczony — ale dokoła wszędzie biało bez końca — ani drzewa, ani chaty — pustynia!

Śnieg suchy sypie z góry, a wiatr ogromne tumany z dołu podrzuca, kręci nimi i rozsypuje nad głową, bijąc w oczy krupkami jak szrót twardemi — zasypał już po pas nieszczęśliwego.

Zrzucił tornister i sakwy z pleców. Próbuje kopać się dalej. Lecz napróżno! Zapada coraz głębiej — tornister choć obciążał, ale przylegając do pleców, chronił od zimna — teraz lodem czuje się ścięty. Chce się rozgrzać, i dobywając sił ostatnich idzie. Nareszcie zmęczony, wycieńczony, czuje jakiś zawrot. Wiatr mocniejszy pochylił go — upadł na wznak. Ostatni wykrzyk za matką, za żoną, za krajem wściekły porwał wicher i rozniósł po stepie — przepadł! — a gdzie? — ha! gdzieś tam w powrocie z pod Berczyny. Oto wszystko!

Tak przepadła znaczna część armii, którą wódz wielki i pod piramidami i na polach Europy umiał prowadzić do zwycięztwa — niestety! w imię swej dumy tylko a nie ludzkości...

Tak zginęło tylu braci naszych, rodaków, z różnych ziem nieszczęśliwej Polski,

Szli z wielką armią — odwagą i poświęceniem nieraz bitwy rozstrzygając — szlachetną krwią dzielnych zastępów znacząc miejsca, gdzie walczyli za sprawę Francyi; bo wierzyli biedaki, że jej wielkością i sławą własny swój kraj ocalą! — że krwią za Francuzów przelaną, i kośćmi białemi świecąc na Ś. Domingo, we Włoszech, Hiszpanii, w potokach Elstry, Dunaju i Berezyny — na spiekłych piaskach Afryki i pod całunem mroźnych śniegów zapadłej Rosyi dadzą świadectwo miłości i przywiązania do kraju — zyskają wdzięczność wielkiego narodu, uznanie wielkiego wodza, co brał i rozdawał korony.

Więc spodziewali się, że za tyle poświęcenia tam, gdzie orły cesarskie niesiono, za tyle ofiar w jego sprawie, syty laurów i chwały podniesie kraj nieszczęśliwy, rozdarty przemocą — rzucony na pastwę gwałtu i bezprawia.

Ale gdzie tam! wielki wódz nie myślał o tem.

Odbudowanie Polski nie wchodziło w jego plany monarchiczne; uznał nas za mężnych, więc tam prowadził, gdzie niebezpieczeństwo. Zdobywali nie przystępne, działami najeżone wąwozy — rzucali się pierwsi na mury piekielnym ziejące ogniem — i padali...

Dziś zaklęsły już mogiły nad zwłokami tych bohaterskich przodków naszych — a w obec tej samej Francyi i imperatora wielkiego imienia, stokroć nieszczęśliwsza Polska stoi z załamanemi rękami nad świeżymi grobami tylu synów, w nie równej walce poległych!

Ej! gdzie tam w walce. Na wolnej kiedyś ziemi Polski, jak straszne widma, stanęły szubienice.

Dwory, wsie i sioła zaświeciły światu łuną pożarów, dobijano na pobojowiskach, mordowano po domach, palono rannych w płomieniach rodzinnych strzech — krocie ludu popędzono w Sybir, gdzie mrą zakuci w kajdany, zmę-

czeni pracą ciężką, oszaleli z tęsknoty i poniewierki. Dobra zabrane — dobytek zrabowany, pamiątki poniszczone — wiara wzbroniona, kościoły znieważone, a język wyklęty!

Władza nad biednym, nieszczęśliwym krajem, w ręce srogich, bezmyślnych oddana katów!

Ach! jeżeli kochać kraj swój nie jest zbrodnią, jeżeli poświęcać się dla drugich nie jest występkiem, jeżeli czcić i wyznawać wiarę Ojców naszych, a szanować przybytki Pańskie i jej kapłanów, świętym jest Polaka i chrześcianina obowiązkiem — to za cóż tak cierpimy? — opuszczeni — wygnańcy z własnej ziemi od ukochanych rodzin naszych i zagród, z obcym nieraz nazwiskiem nawet wśród braci, i nieraz od nich samych zimnem odepchnięci słowem!

To już nadmiar niedoli!

Właśnie w czasie tego nieszczęśliwego wojsk francuzkich odwrotu — w miasteczku N., na pograniczu Mohilewskiej gubernii leżącem, był odpust i jarmark na konie i trwał już od dni kilku; a choć mroźno i śnieżno nie zwykle, dużo jednak do miasteczka zjechało szlachty.

Obszerne gospody — prywatne domy żydów i mieszczan, były pozajmowane.

Lecz nie tak jarmark, jak zamiar zobaczenia się w większej liczbie, udzielenia sobie wiadomości, zasięgnięcia nowych, pogadania o armii, o Napoleonie sprowadził tylu z dalszych nawet okolic właścicieli.

Handelki były pełne — pod kościołem spiewały dziady pieśni nabożne, a w gospodach wygrywała żydowska i cygańska muzyka; na mieście trzaskano z biczów i harapników — konie uwijały się potrącając pieszych.

Hałas, spiew, muzyka, krzyk, tartas, budy i sklepiki — paciorki szkaplerze, a tam dalej siodła, uzdy i trenzle. Tu pierniki i kukiołki, tam smoła i smarowidła — postronki i len czesany; tu chłopska szkapa, a tam bachmat ukraiński z rozdętemi chrapami, z zadartym ogonem puszy się i tańcuje, a rwie z wędzidła.

Wszędzie pełno — ścisk, harmider — szlachta tłumniej i gwarniej zbierała się w większych gospodach; bogatsi w refektarzu x. x. Reformatów, u Jośla w ogromnej izbie w głównym zajezdzie; inni u Meichera, gdzie najlepszy miód litewski z grzankami — inni na probostwie, na wikaryówce, a nawet w domu organisty i kościelnego.

Był to już ostatni dzień jarmarku, pogodny i mniej mroźny. Nie było już pozoru do zatrzymywania się dłużej. Kupione lub nie sprzedane konie wysłano do domu dniem wprzódy. Służba kręciła się znosząc do sań pościel, tłumaki, dywany — ubierano w zaprzęgi konie, a tymczasem szlachta udała się do kościoła na sumę i konkluzyę.

Uroczyste „*Salvum fac populum tuum Domine*“ zaintonował sędziwy proboszcz, żegnając i błogosławiąc monstrancyą. Wszystko klęczało z głowami do ziemi schylonemi — grzmiał organ z chórem drzących głosów, przeczuciem złej doli strojnych, i niejedna łza gorąca skrzepła tam na zimnej posadzce świątyni. B o ż e r a t u j n a s! wydobyło się z tylu piersi tłumionem westchnieniem...

Wreszcie zaczęto wychodzić. Na cmentarzu kościelnym żegna się szlachta, zaprasza nawzajem, aby razem zjeść obiad, jeszcze pogadać, poradzić, jak się zachować w tych trudnych okolicznościach, aby i nieszczęsliwym braciom pomódz i uniknąć prześladowania.

Potem wypić zdrowie marszałka — deputatów, sąsiadów — zacnych Polek — zasłużonych krajowi Polaków — miejscowego proboszcza — w cichości zebrać i złożyć na jego ręce składkę dla wracających nieszczęśliwych rozbitków — a potem staropolskie „k o c h a j m y s i ę“! uściskać się, siąść na sanie i rozjechać się do domów.

Ale w tem nadjechało głębiej z Rosyi kilkanaście sań żydowskich, a z niemi nowe wiadomości. Sprowadzono żydów do gospód — rozpowiadali już z większymi szczegółami o strasznej na Berezynie klęsce. Widziano oddziały rozbrojone, odarte lub poubierane dziwacznie w kobiece stroje, a nawet w kapy cerkiewne, w alby i w komże — z poobwiązywanemi głowami, z rękami na słomianych temblakach, kulejących, wlokących się wychudłymi końmi na wózkach i saniach, wielu bez broni — konno, bez siodeł i rynsztunku.

Niedawno taki oddział, według opowiadania kupców, uchodził około ich miasteczka, zdążając z największym pośpiechem przed natarczywą pogonią Kozaków w przeważnej liczbie nacierających.

Opowiadano znowu, że jakieś sanie zakryte, pod eskortą kilkunastu zbrojnych na dobrych koniach Francuzów, przemknęły miasteczkiem wcale się nie zatrzymując. Mówiono, że to sam Napoleon, lub któryś z jego marszałków.

Przed kilku dniami do Jośla Hammersztejna, jednego z kupców przybyłych, zajechały w nocy wprost do stajni sanie — na koźle, obok powożącego siedział żołnierz w pąsowem ubraniu z karabinkiem w ręku i pistoletami za pasem.

W saniach dwóch wojskowych] i młoda, piękna, spiąca czy chora kobieta. Zażądano ciepłej izby i pościeli — złożono ją tam.

Starszy, około lat 50 w mundurze od złota, usiadł na stołku i drzymać zaczął. Młodszy był Polak i miał równie piękny mundur. Rosły, barczysty — wychodził często do stajni, wysyłał swych ludzi za miasto, sam przy koniach i saniach zostawszy. Niebawem nadciągnęło więcej sań i kilkudziesięciu zbrojnych.

Po krótkim wypoczynku zbudzono młodą kobietę, i wyniesiono do sani. Wojskowy w bogatym mundurze wyszedł do przybyłych pod eskortą — mówił z osobami,

które w saniach pootulane siedziały, ale nie podobna ich było widzieć. Była noc i ciemno. Zapłacono gospodarza, ale kazano dać przewodnika do najbliższego na drodze do Wilna miasteczka. Pojechali.

— „No i cóż więcej? Czy przewodnik nie dowiedział się nic o nich w drodze“?

— „Jak tu coś dowiedzieć, Jaśnie Wielmożne Panowie? — odpowiadał żyd chlipiąc językiem z pospiesznego opo-

On z przeproszeniem Jaśnie Wielmożne Państwo zabłądził, to on naraz niewiedział gdzie jechać — krzyknął: aj waj! ale już wtedy ci, co przy nim na koniach jechali, tak jemu wirźnęli, że za czapkiem i on sam leciał z konia, dopiero jemu za nogi wsadzili, i pistoletem pod nos przykładali.— Ach Panowie Jaśnie Wielmożne, co to za czasy!“

Rozpowiedzieli żydki co wiedzieli — dali wytchnąć koniom i pojechali dalej — a szlachta do gospód — zasiąść



Wołoska Cerkiew we Lwowie. (Str. 299.)
(Podług fotografii J. Edera, rys. K. Młodnicki.)

wiadania. — Froim przewodnik przyjechał dopiero na drugi dzień na wieczór — jaki strach! — aj waj! — jemu dwa razy w głowie chcieli wistrziliwać — i jak jemu jeden z pieścią wirźnął, tak czapka spadła jemu z głowie, a krymka z wiatrem poleciała“.

— „I za cóż? — któż go tak urznął“?

— „Ja Jaśnie Wielmożne Państwo powiem całą prawdę.

do stołów. Lecz zaledwie zasiedli, jakiś hałas i zgiełk dał się słyszeć w miasteczku — ciekawsi powybiegali na ulice, szlachta rzuciła się do okien.

— „Co takiego? Czy się gdzie pali?“ — Ale wszyscy wypadli, bo zawołano od strony rogatek:

„Francuzi idą!“ Francuzi!

Na parę wiorst od rogatki widać było zbliżający się

oddział drogą ku miastu — pięcset — może sześćset ludzi i pieszych i konnych — ciągnęły i wozy, i sanie kryte i otwarte — a cały ten tabór postępował w nieporządku, piesi wśród konnych, niektóre sanie z oddziałem, inne po za nim — zbliżających się można było coraz lepiej rozróżniać, a i spiewy pojedyńcze dochodziły.

Szlachta jarmarczna, mieszczanie, żydzi i kilku zakonników, stanąwszy zrazu przy rogatkach, w miarę zbliżania się oddziału, posuwać się ku niemu zaczęli, a niebawem widać było, jak przodem tej masy bezładnej jechał na dzielnym koniu dowódzca, szli kawalerzysci różnej broni, kirysyery, ułani, szwoleżery, artylerzyści konni, piechota z różnych pułków, rozbitki!

Są już tylko o kroków kilkadziesiąt. Wojak na przodzie oddziału jadący, jest mężczyzna około lat 60, cery ciemnej, z sumiastym szpakowatym wąsem. Spiął konia — poskoczył ku szlachcie.

— „Panowie Polacy? — zapytał po polsku.

„Polacy!“ — zawołano chórem, i tłumnie do niego, cisnęli się. — Zsiadł z konia — „I ja Polak panowie, prowadzę oddział francuzkich żołnierzy, szczęśliwy jestem, że spotkałem rodaków.

Otoczono go, serdecznie witano, choć nieznanego. „Polak“ wołano zewsząd, a gdy oddział nadszedł, witano oficerów francuzkich, żołnierzy, i złączywszy się z nimi całą kalwakadą ruszono do miasta.

— „Panowie, bracia, rodacy moi! — zawołał pułkownik, gdy weszli w rynek — po nużącym kilkodniowym forsownym marszu chciałbym dać tu oddziałowi mojemu wypocząć do jutra, nocą ruszymy dalej; rozkwaterujcie nas sami, i jeźli możecie, posilcie, bo głodni jesteśmy, a chorzy nasi i ranni potrzebują opatrzenia. W wdzięcznych sercach tych nieszczęśliwych prawą za to znajdziecie nadgrodę. —“ I wąsa targnął, i łza w męzkiem oku zabłysła.

„Hurra! — niech żyje pułkownik — niech żyją Francuzi, i waleczna armia!“ — Więc dalej czapkami w górę podrzucać, i ściskać, i całować, i porywać po kilku, aż rozebrali wszystkich, poprowadzili, sanie i wozy do stajen pozachodziły, i naraz pusto na rynku.

Stoły wszędzie pozastawiane, obiad przerwany gotów, znoszą ławy i stółki, sadzają gości. — Wódki! piwa! miodu! wina! — wołają na wszystkie strony. Żydki zadyszane, zachlipane, latają jak oparzeni — szlachta płaci gotówką! — rozbijają się — aj waj! zysk niespodziewany. — Niech żyje szlachta polskie i Francuzy!

Powysadzano z sań i poznoszono rannych i chorych, posłano w obszernej osobnej izbie gospody i tam ich złożono, nie opuściwszy, dopóki lekarz wojskowy z felczerem nie przystąpili do opatrzenia. Znoszono im potem rosoły, leguminy, wina. Zabito dwie kopy kur w miasteczku na potrawki, a w tej krętaninie było tyle zajęcia, tyle prawdziwego współczucia dla tych biednych, że Francuziska nie umieli znaleźć słów i dosyć gestow na wyrażenie swojej wdzięczności. Przy stołach Polacy obsługiwali, przysiadali się, ci do tych mówiąc po polsku, a ci do nich po francusku, bo nie wszyscy znali język. Lecz czego językiem nie wyraził, to rękami i oczyma dosztukował; rozumieli się, serca były na dłoni, dopieroż gdy zdrowia sypać się zaczęły, znaleźli się i mowcy władający po francuzku.

Tu już rozbitki nasi nie posiadali się z radości. „*Vous etes les Francais du nord*“ — wołali Francuzi, i dalejże przewracać ławy i stołki, ściskać się, płakać, i przyrzekać stanowić jeden naród, pomagać sobie, oddać życie! Piękne myśli! i piękne słowa!

W refektarzu klasztornym po za długimi w dwa rzędy słołami, po modlitwie, którą ksiądz Gwardyan głośno odmówił, zasiadła szlachta zamożniejsza, Gwardyan, kilku zakonników, pułkownik, marszałek, sędzia, deputaci i starsi z oddziału oficerowie. Rozmowa toczyła się o nieszczęśliwej kampanii, o polityce, o Polakach do wyprawy należących, o Napoleonie. Wypowiedziano co kto wiedział, mówiono i wzdychano.

Wreszcie stary cześnik, pan licznych włości, powstał i wniósł zdrowie — „Braterstwa z Francuzami, w doli i niedoli, w szczęściu i przeciwnościach w imię związku krwi kiedyś przez Leszczyńską, i krwi w wspólnej sprawie przelanej“.

I tak szły zdrowia za zdrowiami, a huczne wiwaty rozlegały się wśród murów klasztornych, gdy w coraz poufniejszej rozmowie dowiedziano się od pułkownika, że ród swój wywodzi z Hulajpola, że matka jego Szukszcianka, a siostra matki, ciotka rodzona, byla za Minskim starostą, a brat ojca stryjeczny łowczym koronnym, którego wnuk odznaczył się i zginął w Hiszpanii, pod Saragossą. Wtedy cisnęła się już szlachta z rozwartemi ramiony prosto do szyi pułkownika, i nowe znowu zdrowia wnoszono; aż wreszcie „górą pułkownika!“ zawołał ktoś, i wnet najbliżsi, mimo najżywszych jego protestacyi, wzięli go na ręce i obnosić po sali zaczęli.

„Niech żyje! — wiwat! — górą nasi! jeszcześmy nie przepadli — zginęła armia — będzie druga, w Bogu nadzieja!“

Po innych gospodach, na plebanii, na wikaryówce działo się to samo, tylko jeszcze gwarniej. Między szlachtą byli i dawni wojskowi, konfederaci. Ten z szramą przez twarz, tamten krzyżową sztuką dostał po głowie, że spadł z konia krwią oblany i przez kilka tygodni o Bożym świecie nie wiedział, ale młodość zwyciężyła wszystko; teraz na świecącej łysinie dwie głębokie kresy świadczą, co to było za cięcie, co ta za czaszka, która to wytrzymała i nie rozłupała się na dwoje. Byli i siłaki, co zamiast na ręce, brali za poręcz od stołka, i tak francuzkich oficerów

podnosili trzymając nad głową, dopóki ich zdrowia nie wypito.

Dopieroż to było wiwatów, gdy Francuzi zaczęli rozpowiadać o pułkowniku, którego ciężko rannego sam Napoleon uściskał i ozdobił krzyżem z własnej piersi odpiętym, bo pod Berezyną odparł atak Kozaków, a szczupłą garstką zasłonił przejście wozów z rannymi po moście, bo ostatni swój fundusz oddał na potrzeby towarzyszów grosza dla siebie nie zostawiwszy; bo jé chleb razowy z drugimi, a oddawszy polowe łóżko swoje rannemu oficerowi, sypia na słomie płaszczem się nakrywszy.

Dopieroż rosła szlachta pokręcając wąsów, a mieli z czego. Więc napełnili kielichy, nadziali czapki na głowę i ruszyli do klasztoru, i tam ogromne „wiwat“ dla pułkownika zagrzmiało; a z tamtąd poszli pod dom, gdzie złożeni byli ranni, wypić na ich cześć. Znalazła się i muzyka, i gotowa serenada urznęła poloneza, z którym obeszła miasto, zatrzymując się pod kwaterami Francuzów.

Tymczasem i wieczór zapadał, a mróz co zwolniał za dnia, silił się teraz na piękne.

Niektórzy z szlachty zabierali się do odjazdu, inni postanowili zostać do jutra do wieczora, aby wyprowadzić, i pożegnać oddział.

Zaprzęgano zatem do sań, inne już ubrane konie rozbierano z zaprzęgów, znoszono znowu do izb zapakowane niedawno tłumaki, a w tem rozeszła się wiadomość, że Jegomość Pan Marszałek zaprasza braci szlachtę do refektarza; jakoż zewsząd ciągnąć tam zaczęto.

Z stołów refektarza już posprzątano, stały przysunięte do ścian, a wśród licznie tam już zgromadzonej szlachty ani pułkownika ani oficerów nie było — a w tej samej sali, gdzie dopiero co huczały zdrowia, brzęczały kielichy, gdzie nikt do słowa przyjść nie mógł, teraz było cicho i poważnie.

Marszałek stał na środku, wokoło szlachta, której coraz więcej przybywało; wreszcie gdy drzwi wchodowe przymknięto, gdy sądząc z natłoku zdawało się, że już są wszyscy, marszałek w te odezwał się słowa:

„Zacni, szanowni obywatele! — bracia ukochani! Szczęśliwe zdarzenie, iż w dniu, w którym mieliśmy się do domów rozjechać, zaszedł nas oddział nieszczęśliwych rozbitków, którym dowodzi nasz mężny szlachetny rodak.

„Dało nam to możność okazać pokrewnym nam duchem Francuzom nasze sympatye, a przyjąć ich jak na obywateli polskich przystało; nakarmić i napoić zgłodniałych i złaknionych, odziać na ile starczyło; bo wiem że uczyniliście to wszystko. Dowiedzieliśmy się od naocznych świadków szczegółów o nieszczęściu, które nas równie mocno dotyka. Będzie jak Bóg da! Odjedziemy ztąd przynajmniej lepiej ufundowani w postanowieniu, co nam czynić należy, i jak zachować się mamy, aby obowiązkom Polaka uczynić zadość, a roztropnością uniknąć prześladowań, które nas spotkać mogą po tej nieszczęśliwej dla oręża francuskiego wojnie. Cesarz wyprzedził armią i bodaj już dziś znajduje się w Paryżu. Wojska ściągają do Prus; dowództwo nad niemi powierzył Cesarz Królowi Neapolitańskiemu. Jeszcze mimo tak strasznej klęski w obec geniuszu Napoleona nie ma nic straconego. Miejmy nadzieję! Tymczasem przedstawiam wam tę okoliczność, że oddział, którym dowodzi nasz rodak, w opłakanym znajduje się stanie; a daleka im jeszcze droga, kassa ich pusta, a sam pułkownik oddał żołnierzom wszelkie pieniądze, jakie posiadał. Więc kto może, i ile może, złóżmy panowie bracia, a potem w kilku udamy się na kwaterę pułkownika, prosząc, aby tę małą pomoc przyjął. Czy zgoda?“

— Zgoda! prosimy! — zawołano jakby jednym głosem. Marszałek rzucił w górę aksamitną sobolem obłożoną konfederatkę, w lot ją pochwycono, a brzęk rzucanej w nią monety przekonywał, z jaką ochotą i jak hojnie ją napełniano, aż wreszcie ciężarną pod wierzch złożono na stole.

Pułkownik po krótkim wypoczynku wybierał się wraz z kilku oficerami z kwatery swojej na obejście placówek i odwiedzenie chorych, gdy weszła do niego deputacya.

Ze łzami w oczach uścisnął ich dziękując, i zaraz obecnym oficerom oddał pieniądze dla podzielenia ich między siebie i żołnierzy.

— Bóg wam zapłać zacni rodacy moi! — mówił wzruszony—Nakarmiliście nas, i jeszcze pieniędzmi darzycie Potrzebowaliśmy tej pomocy, choć nie było nadziei znaleźć jej w nieszczęśliwej drodze naszej. Teraz pewniejszy już jestem, że chorym moim nie będzie zbywać na koniecznych potrzebach; niedostatek więcej mi ich zabrał niż rany. Bóg wam zapłać! Kiedyż i jak wam to odwdzięczymy?

Łzy kropliste padły mu na wąsy, zmarszczył brwi ciemne, łzy otarł, i naraz z uśmiechem zwróciwszy się do deputatów, tłumiąc wzruszenie odezwał się:

— Za godzinę wrócę do kwatery; proszę was do siebie, a wy zaproście innych; drzymałem trochę, mogę wam służyć choćby noc całą; bo wedle wiadomości, jakie przed chwilą odebrałem, wypadnie jutro rano lub najdalej przed południem w dalszą wyruszyć drogę. Przyjdźcie, pogadamy, a zmęczy nas gawęda, to pogracie sobie w karty, a byle jak najdłużej razem — za godzinę jestem z powrotem.

Wróciła deputacya uszczęśliwiona, że ofiarę w pieniądzach tak dobrze przyjęto. Ale cóż, kiedy pułkownik nic dla siebie nie zostawił. „Co tu robić? pytają—juścić tak puszczać go bez grosza nie podobna! a nie przyjmie, znamy go!“

Wymyśla szlachta sposoby, ale co jeden, to gorszy; daj tu mospanie, ale tak, żeby nie wiedział, że dostał,

*

i od kogo, hm! — nie tatwa to rzecz; a w tem ktoś wspomniał o kartach.

Klasnięto w ręce: Wyborna myśl panowie! Grajmy tak, aby przegrać do niego pare set dukatów! Brawissimo, koncept doskonały! zgoda? — A zgoda!

Jak rzekli, tak zrobili. Kilkunastu zamożniejszych udało się wieczór na kwaterę pułkownika; po godzinnej może pogadance dobył ktoś karty, trzepnął niemi, wysunął stół. „A może byśmy zagrali pułkowniku?“ Zajęto miejsca, inni poprzysiadali się do grających, inni stanęli po za krzesłami, to przy drugim stole zasiedli do maryasza, a tymczasem szklannice się napełniały, i wychylano pomału.

Grają, piją, rozmawiają, śmieją się, a na dworze mróz się sadzi, księżyc świeci pełnią, widno jak w dzień biały.

Czasem wśród gry i gwaru słychać donośny głos pułkownika: Co u kata! dawno mi tak szczęście nie służyło. Jakto? i teraz?

— Ha! panie pułkowniku, idzie tobie, ale zato z nami krucho, uwzięła się karta, jak nie ma, tak nie ma.

— Ej grać nie umiecie! a nie uważacie, gadacie z sąsiadami, a nie pilnujecie się. Ot albo teraz pan Zdzisław samochcąc wpadł w matnię, nie prawdaż? a miał kartę wyborną. Pilnuj się młody człowieku, bo ci kurtę skroję.— Szlachta uśmiecha się kontenta, i ukradkiem dają sobie znaki porozumienia.

Pan Zdzisław, do którego pułkownik tak żartobliwie się odezwał, był istotnie najmłodszym z grona obywateli znajdujących się w kwaterze pułkownika, nie miał lat trzydziestu, blondyn, rosły, pięknie zbudowany, gładki w obejściu, dzielny jeździec, równie dobry myśliwy, zawołany gospodarz na całą okolicę, dobra partya dla panny najposażniejszej, przedmiot ich czułych spojrzeń, marzeń matek — ale cóż z tego, że bogaty, że przystojny, że gospodarz, kiedy nie lubiony przez sąsiadów, bo skąpy!

A przecież żaden ubogi z próżną od niego nie wyszedł sakwą. Spalił się biedny szlachcic zagrodowy, to najprzód od niego dostał słomy na pokrycie, i zboża na zapomogę a nawet jednę i drugą na przychówek jałówkę. Dobry dla swych ludzi, wyrozumiały dla włościan swych włości, chętnie pomagający. Dlaczegoż nie lubiony? dlaczego okrzyczany, że skąpy? Dał zboża, dał słomy, dał jałówkę, ale nie dał grosza, bo co raz zamienione zostało na gotówkę i wpadło w skrzynię, już Bożego nie ujrzało świata.

Jest on bohaterem tej powieści, i dlatego wypada dać go bliżej poznać czytelnikowi.

Surowo przez ojca wychowany, oddany był na naukę do konwiktu OO. Jezuitów i tam pod ścisłem trzymany nadzorem, uczył się dobrze, zachowywał się spokojnie. Łagodnego charakteru, uległy był i posłuszny; lecz ilekroć odwrócono od niego uwagę, tyle razy dopuścił się jakiegoś wybryku, którego żałował, za które pokornie przepraszał i solennie obiecywał poprawę. Ale niebawem znowu coś takiego zrobił, co surową na niego ściągało naganę, a nawet i karę.

Ojciec, stary konfederat, nic nie przepuścił synowi, choć jedynakowi, i nieraz perski kobierzec służył paniczowi, a boćkowska nahajka w krzepkiej ręce ojca nie małego i bolu i strachu nabawiała.

Matka płakała w swojej komnacie, i po każdym takim basarunku tuliła upominając, aby się strzegł i ojca nie gniewał, któremu wstawszy z kobierca, trzeba było jeszcze do nóg upaść i ręce ucałować z pokorą.

Gdy już miał lat 20., wysłał go ojciec do Paryża, aby zobaczył świat, otarł się między ludźmi i czegoś nauczył. Stary podchorąży, pan Ancuta, nieodstępny niegdyś towarzysz i przyjaciel ojca, a teraz rezydent, pojechał razem z panem Zdzisławem.

Co trzy lub cztery miesiące przychodziły listy od pana Zdzisława z dopiskami pana Ancuty z remarką t i b i s o l i.

Stary konfederat list Zdzisia odczytywał na głos, a przyszedłszy do dopisku czytał cicho, głową kiwał, a matka ze łzami w oczach, położywszy robotkę na kolanach, patrzała na jegomości pragnąc z oczu i twarzy wyczytać, co się święciło. Pytać trudno, taki był respekt, choć szło o syna jedynaka.

Tak minęło lat dwa. Czasem przywoływał jegomość księdza proboszcza i długie z nim w komnacie swojej miewał narady. Nazajutrz posyłał do miasteczka po żyda Haima Rubinsztajna, wymieniano monetę, pakowano, a ksiądz proboszcz adresował na pocztę do Paryża.

Zaniepokojona matka o jedynaka, nic jednak dowiedziec się nie mogła, aż pewnego razu przyszedł list znowu grubszy niż zwykle od pana Ancuta. Stary przeczytał i nad wszelki przyjęty obyczaj podał go żonie. — „Czytaj aśćka, zobaczysz jak się sprawia nasz jedynak.“—I usiadł chmurny, milczący, szarpał wąsy, szerokimi krokami chodził po komnacie, a czasami stawał przed żoną, która odmówiwszy krótką do przemienienia Pańskiego modlitwę, i założywszy na nos ciężkie mosiężne okulary, drżącemi rękami trzymała list, nie mogąc czytać, bo oczy łzami zalane nic dojrzeć nie mogły.

— „*Infamis*, moja kochanko! — zawołał stary wyjmując jej list z ręku—ja tylko wiem, ile posłałem już pieniędzy; stracił wszystko, drugie tyle narobił długów.

— „O mój Boże!—podniosłszy się i trzymając stołu wykrzyknęła matka. — Czy nie białogłowy... czy...

— Ej! gdzie tam — przerwał stary—krew nie woda. Gdyby jeszcze to tylko, ale co gorzej, to brudna namiętność karty!...

— Słodkie imię Jezus! czy być może?! Nigdy tego przedtem nie bywało.

— Właśnie że bywało, tylko nic imości o tem nie mówiłem. Już i w konwikcie kart dorywał, choć to na sucho nie uchodziło. Skaranie Boskie i nic więcej.—Machnął ręką, chodził znowu i wzdychał.

— Pradziadek się w nim, moja droga, odzywa. Świeć Boże jego duszy! Hulaka był, marnotrawca, sterał całą ojcowiznę, choć pono dobry człowiek, lubiony, kochany, a facetus, a żołnierz, co się zowie, i zawadyaka.

— Zdzisio łagodny, potulny — przerwała matka łzy ocierając.

— Ba! cóż mi z tego? Toć wolałbym słyszeć, że łby tam gdzieś rozbija, bo z wiekiem uchodzi się, ale karty! Hazard moja imość wyradza najgorsze; a toć pisze mi pan Ancuta, że nie ma rady, jeno sprowadzić do domu, a zaprządz do gospodarstwa i wziąć w ryzę panicza. Jużem też i napisał, i spodziewam ich się lada tydzień. Przyjadą, oddam mu folwarek, niech pracuje; posieje dobrze, będzie zbierał, a nie posieje, to nie zbierze. Ja nic nie dam, póki życia mojego. Spory by kupił majątek za to, co on w karty przegrał, zmarnotrawił. Musi przysiądz, że kart w rękę nie weźmie albo... i tu mocniej targnął wąsem... damy sobie radę—Pocałował spłakaną żonę w czoło, uścisnął czule i wyszedł.

Przyjechał Zdzisław, padł ojcu i matce do nóg, przeprosił. Przebaczyli; w obec księdza proboszcza i Ancuty przysiągł, że w karty grać nie będzie, przyjął folwark, który mu ojciec na utrzymanie przeznaczył, i gospodarował.

Dla utwierdzenia go w postanowieniu ksiądz proboszcz korzystał z każdej sposobności, aby mu dać uczuć, że majątek, jakkolwiek jest dobrem doczesnem tylko, przecież jest jednym z najpotężniejszych środków do czynienia dobrego; a ojciec dodawał: Żebyś był Salomonem, mój synu, a gołym, to cię deputatem nie zrobią; nawet krajowi skuteczniej możesz służyć z pieniędzmi, niż bez nich. Ot, starościc Wyłkowski, i pan Atanazy kasztelanic, chłopy jak dęby, i udatni, i w głowach pono wcale nie źle, ale cóż? potracili fortuny, pozjadali gdzieś tam z przyjaciółmi, a dziś? rzemiennym dyszlem jeżdżą od dwora do dwora. Prawda, że radzi im wszędzie, chłopcy jak malowani, mówią po francusku nie przymierzając jak Francuzi, tańcują, umieją pannom nadskoczyć, powiedzieć jakieś m a r m o z e l, a i z klawikordem popiszą się, że miło słuchać mospanie; ale ojcowie tandem nie chcą dać córki, choć już dobrze na czwarty krzyżyk kawalerom.

Słuchał Zdzisio, bo był łagodny i potulny, i pomału przywykł do pracy, i grosz polubił okrutnie; a kiedy rodzice jakoś w lat kilka pomarli, syna tak nawróconego błogosławiąc, kiedy się znalazł panem niezależnym znacznej fortuny, oddał się całą duszą gospodarstwu, w czem dzielną mu był pomocą Ancuta.

— Nic tu nie brak w tym pięknym dworze, kochany mój Zdzisławie—mawiał Ancuta—tylko gosposi, a i czas! trzydziestka za pasem.

Ale pan Zdzisław ani myślał o tem, bo już nawyczką zbierania holenderskich dukatów, zawijania ich w rulony i dokładania coraz nowych zatwardział na sentymenta. Obliczył wprawdzie, że żona mogłaby mu wnieść znaczny posag, ale by też i dużo kosztowała niechybnie; wtedyby wszystko było wspólne, teraz wszystko jest jego własne.

Nierad był Ancuta z tego usposobienia swojego wychowańca. Mawiano o tem w okolicy, a złośliwość ludzka dodawała drugie tyle na niekorzyść Zdzisława.

Kiedy inni jechali kuligiem, na wesela, na zjazdy, na sute polowania, to Zdzisław z Lajbą albo Herszkiem załatwiał pieniężne interesa, i nowe rulony staczały się do dębowej, grubo okutej szkatuły; aż przyszło do tego, że ksiądz proboszcz żałował nieraz i wyrzucał sobie, ażali nie za wiele mówił z nim kiedyś o szanowaniu grosza, któren jak widno stał się teraz jego bożyszczem.

W tym stanie rzeczy znalazł się pan Zdzisław na jarmarku w miasteczku, o mile od majątku swego położonem.

Zaproponowano grę w karty, niepodobna było wymówić się od tego, gra miała być delikatnym środkiem do zasiłku pułkownika. Szkoda kilkunastu dukatów, przeklęte zdarzenie! Byłby uciekł, gdyby mógł, ale w obec tylu obywateli, sąsiadów... dać im nowy powód jeszcze? Ha! co robić? Usiadł, grał i przegrywał. Miał przy sobie 30 dukatów, postanowił przegrać połowę, i przegrał.

Grając wypił parę szklanic; to go rozweseliło, i nie tak bardzo żałował dukatów. Padające na stół karty przypomniały mu dawne czasy. Karty były francuskie.—Ciekawym, myślał sobie, jakby mi też ta sama fortuna usłużyła tutaj, kiedy zawodziła mnie tam. Sprobujmy na seryo, ot! raz tylko.

— Panie pułkowniku! stawiam 5 dukatów.—Ciągnie pułkownik, i... wygrywa.

Drgnął mimo woli pan Zdzisław. — Cóż u djabła! Czy siadłem pod sękiem?—I gniewnie pieniądze odsunął.

— I musi to być twardy sęk dla pana — odezwał się ktoś. Pan Zdzisław spojrzał po obecnych, jakby szukając tego, co go tak drwiąco zagadnął, porwał pełną stojącą przed nim szklannicę, wychylił duszkiem i postawił z łoskotem.

— Stawiam dziesięć!—Szlachta przysunęła się z krzesłami, opuszczono inne stoły, zbliżyli się do grających,

zaglądali przez ramiona, cichutko jakby makiem zasiał. Pułkownik kładzie karty zwolna na lewo, na prawo, aż położył króla.

Pan Zdzisław przegrał znowu. — To nie może być, pomyślał doblujmy. Raz paść musi na moję stronę.

— Stoi pietnaście! Proszę z nowej talii! — Pułkownik wziął nową talią, stasował, podał do zebrania, pan Zdzisław drżącą rękę pochwycił karty, zebrał i z plaskiem położył przed pułkownikiem. Położył kartę pułkownik.

— Może ściągniemy połowę stawki?—I spojrzał na ponitera pytająco. Ale poniter wstał, pięściami oparł się na stole, utkwił wzrok w kartę leżącą i głosem już nie małą walkę zdradzającym wymówił: „Nie! niech stoi!“

Więc pomału kładą się karty na dwie kupki. Każda może wygrać i przegrać. Po za krzesłami stojący podnieśli się na palce, aby lepiej widzieć. Kładą się karty. Naraz ci, co stali za pułkownikiem, spojrzeli na Zdzisława, szyderczy uśmiech mignął na ich ustach. Dostrzegł go nieszczęśliwy poniter; w karcie, którą trzymał przed sobą pułkownik, w sposobie, w jaki ją trzymał, widział przegraną, ale miał czas opamiętać się. Mocą zaprawnej w takich razach woli roześmiał się, śmiechem amputowanego, co chce znieść bez krzyku bolesną operacyą.

— To już i ostatnie!—I pomału posunął do bankiera pieniądze.

Pułkownik zbierał się zgarnąć kupkę pieniędzy przed nim leżącą. Zdzisław pożądliwym wzrokiem zdawał się śledzić za tą ręką, i nagle uchwycił ją i przytrzymał, przycisnął mocno tak, że kilka dukatów tym nagłym ruchem poruszonych potoczyło się po stole. Lecz wolną prawą ręką przytrzymał je z dziwną zręcznością — już na brzegu; i tak rozkrzyżowany, spocony, bystro patrzał w oczy pułkownikowi.

— Nie mam pieniędzy pułkowniku, spróbujmy na słowo. Przegrałem 30 dukatów: idzie na kwita? co? — A w miarę jak mówił, chrypł widocznie, patrzał coraz większemi oczyma, potniał coraz więcej. — Pozwalasz Pan?

— Z ochotą, kochany Panie, radbym żebyś się odegrał, lecz możeby było dobrze, gdyby kto z panów ciągnął talią. My sobie będziemy patrzeć, bo przyznam się, że lubię grę, ale hazardu unikam; to mnie fatyguje. Przecież rewanżu nie odmawiam.—I oddał talią najbliżej siebie siedzącemu, sam nałożył fajkę, oparł się łokciami na stole i patrzał na tasującego. Zdzisław tymczasem wychylił szklankę wina.

— A więc 60 albo kwita!

— A możeby lepiej 50 albo kwita? Panie Zdzisławie, po co się mamy palić?

— Zgoda! pięćdziesiąt; to zawsze mniej o dziesięć — pomyślał poniter. I zwrócił się do ciągnącego, wodząc wzrok dziki od karty do karty. Pułkownik spokojnie palił fajkę.

— A to chyba w tej talii nie będzie? — powiada kładący karty — zaledwie już kilką mam w ręku. — I spojrzawszy na grających ciągnąć przestał.

— To nic! ciąg pan dalej... a prędzej! — zawołał dyszący Zdzisław, obtarł twarz chustką pospiesznie; ale zaledwie spojrzał na kartę, co w tej chwili na prawo upadła, zbladł jak chusta — przegrał.

Uderzył dłonią w stół. — Idzie o sto albo kwita! — Wstał, roztrącił gwałtownym ruchem stojących, dopadł do dzbanka z wodą. Wszyscy obejrzeli się za nim, ruszali ramionami, kiwali znacząco głową. Pułkownik dymił fajką kłębami.

Zdzisław nie prędko dzbanek od spiekłych ust odjął, wrócił do stołu chłodniejszy, ale blady, bledszy niż przed chwilą. Spojrzał na zegarek, już było po północy.

Stasowano karty, zebrano. Mający ciągnąć spojrzał po obecnych, jakby pytał, czy ciągnąć.

— A gdyby skończyć na tem? — pomyślał Zdzisław — siąść na konia i pojechać. — Masztalerz jego od godziny już stał z końmi pod kwaterą pułkownika.

Ulubiony jego wierzchowiec zarżał w tej chwili, jakby wołał pana do domu, ale jednocześnie trzepnięto kartami, spojrzenia wszystkich sparły się na twarzy ponitera.

— Proszę ciągnąć!

I znowu wlecze się karta za kartą... w środku leży dama, dwa damy popiersia — Ha! jeszcze na damę dziś nie stawiał, w Paryżu padła raz dama cztery razy na jego stronę. Ha! dama! wybornie! Porywa szklankę z winem, ale szklanka w połowie drogi do ust wypada mu z ręki, wino rozlewa się częścią na stół, kawałki szkła prysły na siedzacych; odskakują, odsuwają się od stołu, przy którym siedząc zostaje pułkownik, a naprzeciw niego Zdzisław ponurem, ogłupiałem spojrzeniem wodzący po kałuży wina spływającej na ziemię.

— Przegrałeś i teraz panie Zdzisławie — powiedział pułkownik widocznie nieukontentowany z upartego szczęścia, jakie mu służyło.

— Panie pułkowniku! proszę mi zawierzyć, dług kartowy jest honorowym długiem; idzie o dwieście albo kwita! Zgoda? — Jeszcze chciał coś powiedzieć, ale się zatchnął, brakło mu powietrza, przycisnął silną dłonią piersi, gwałtownym ruchem głowy w tył odrzucił pukle długich włosów, co mu się na twarz zsunęły, a tymczasem pułkownik zażądał, aby kładziono karty.

Pociągnięto, i jeszcze razy sześć padła karta na stronę pułkownika, któren za każdym takim wypadkiem obracał się do swego ponitera, mówiąc; — A co, gdybym trzymał stawkę, coby było?

Zdzisław siedział na stołku, podparł ręką czoło i patrzał.

Pułkownik przystąpił do niego, wziął go za rękę, uścisnął, w głowę z dobrocią pocałował.

— Panie Zdzisławie! przegrałeś sto dukatów. No, to oddasz; lecz byłbyś przegrał jeszcze przeszło tysiąc. Chcesz, będziemy grali z nowej talii; ale możesz przegrać, to dajmy pokój. Posłuchaj mnie, panie Zdzisławie, a zobowiążesz mnie bardzo. — I jeszcze raz go uścisnął.

Powstał Zdzisław, z odwróconą twarzą oddał uścisk pułkownikowi—do widzenia! do jutra!—wziął z okna czapkę, jeszcze mocniej uścisnął pułkownika, a nachyliwszy się mu do ucha szepnął: — Dziękuję, nie zapomnę tego nigdy!

Skłonił się obecnym, wypadł na podwórze, skoczył na konia, którego mu masztalerz podał.

Bachmat to był ukraiński, spiął się dębem, bo nie nawykł do targnięcia musztukiem; zziębły, zniecierpliwiony, szarpnięty, stojąc na zadnich nogach, rzucił się skokiem szalonym naprzód, potrząsł głową i jeszcze raz spiął się i rzucił, a pofolgowany w pysku, jak wiatr poleciał, z jezdcem do siodła przykutym; rogatka była zamknięta, przesadził, śniegiem z pod kopyt zasypał masztalerza, pędził, jak gdyby porwał cugle, i unosił.

Ej! to nie koń tak szalał, to jeździec dźgał go ostrogą, aż ubiegł tak wichrem wiorst parę i stracił oddech. Wtedy osadził na miejscu i cały stanął w tumanie śniegu, potem szedł stępo, jak gdyby nie ten koń, i nie ten sam jeździec.

Zdjął czapkę, potarł czoło, i tak z gołą głową jadąc noga za nogą, mówił sam do siebie:

— Cóż za fatalny dzień dla mnie! Tak się zapomnieć! Oto dopiero mieli widowisko! Będą mieli o czem mówić. Przeklęte karty — ha! sam winien jestem, i gdyby nie ten szlachetny, zacny pułkownik, co mnie wstrzymał, byłbym grał do upadłego.... jak niegdyś! byłbym przegrał tysiące!

Czuję ten jakby ojcowski pocałunek, ten uścisk serdeczny, gdy mnie prosił, abym dalszej gry zaniechał. Przysiągłem to ojcu, nie dotrzymałem, przy pierwszej sposobności dawna namiętność zapanowała, ale też okryła mnie śmiesznością i... ohydą. Bóg mnie skarał! i gdyby nie ten zacny pułkownik, co mi dziś ojca zastąpił, mogłem przegrać tysiąc, dwa — ej! i więcej. Szał jakiś mnie owładnął. Widziałem, jak uśmiechano się szyderczo — ha! szydzić umieją — byłem przedmiotem zabawy... może pogardy? On tylko przyjazną podał mi rękę.... szlachetny! —

Nadział czapkę, i wykręciwszy się na siodle spojrzał za siebie, a choć od miasteczka pół mili dobre ujechał, widać je było jak na dłoni. Księżyc świecił całą pełnią, gwiazdy migotały jasnem światłem, milionami brylantów błyskały kryształki śniegu, i cicho, spokojnie w około, tylko pod kopytami skrzypiało wrzaskliwie, bo mróz sadził się coraz większy.

Śliczna noc zimowa; natura w całym majestacie zdaje się wypiękniała podsłuchując pięknych myśli człowieka, co spowiadał się przed sobą, karcił się sam i bolał.

Ale chłód i wolne stępo konia, krew wolniej krążąca czy szatan w ślad za człowiekiem idący, natchnęły jezdca innemi znowu myślami.

— To dziwna! że tak spokojnie rozłożyli się w miasteczku wśród pogoni na wszystkie strony? A gdyby tak Kozacy napadli ich? musieliby uciekać... biedaki!... Uciekać?... a cóżby wtedy stało się z dukatami, które mam jutro doręczyć pułkownikowi?

Szatan podpowiedział: — To byś nieoddał, zostałyby przy tobie, nie goniłbyś z niemi za uciekającymi, anibyś nie jechał szukać pułkownika po świecie?

Lecz ta myśl zgrozą go przejęła; ruszył kłusem całą wiorstę, i znowu stępo, i myślał.

— Ach! mój Boże, nie dopuść tego nieszczęścia! jakżebym żałował tych ludzi! a co najwięcej tego zacnego pułkownika! Choć... doprawdy... gdyby tak się stało, gdyby Kozacy? a noc tak widna... Nareszcie żydzi z miasteczka gotowi zdradzić, donieść... wtedy... cóż wtedy? Jak tu oddać? nie podobna! Musiałbym dukaty zatrzymać. Gonić za nimi? szukać ich nie mógłbym... to pewno... i nakoniec, nie ja był bym winien. Taki jest zwyczajny los wojny, wszak gotów jestem oddać... i oddam —

Spiął konia ostrogą, bo myśl o Kozakach, o ucieczce uczepiła się go jak oset żebraczego łachmana; chciał ją odepchnąć i odpychał, wracała uparcie. Wpadł przed ganek dworu swojego, masztalerz do trenzli przyskoczył, służący wyszedł z światłem na przyjęcie pana.

Już w ganku zawołał do masztalerza:

— Jutro jak świt miej konie okulbaczone, pojadę do miasta! A ty (zwracając się do służącego) zbudź mnie, a teraz zostaw światło w mojej sypialni i odejdź, sam się rozbiorę.

Dwie jarzące woskowe świece zapaliwszy służący na stole, wyszedł.

(Dok. nast.)

DO ORŁA BIAŁEGO W TATRACH 1855. R.

Czemuż orle białopióry
Opuściłeś nasze mury,
Opuściłeś szczyty wież?
Bujasz tylko po nad Tatry
I w zawody pędząc z wiatry
Prujesz chmury wzdłuż i wszerz.

Starodawne twoje plemię
Porzuciło owę ziemię,
Gdzie nadobny żył twój ród,
Gdzie rycerzy ziemia święta
Wykarmiała twe pisklęta,
Od przygody bronił lud.

Czy rozległe nasze niwy
I narodu wiek sądziwy
Przesyciły oko twe?
Że opodal od stolicy
Krążysz po starej granicy
I nie spojrzysz w strony te?

ORZEŁ:

O nie badaj przyczyn we mnie!
Nie obwiniaj mnie daremnie,
Ja do waszych tęsknię niw;
I me oko ku wam goni,
I w mem uchu mile dzwoni
Waszej mowy dzwięczny spiew.

Lecz tam żywot dziś niemiły,
Same groby i mogiły
I potworów czarnych żer:
Latam zdala od straszydeł,
By nie zbrudzić jasnych skrzydeł,
Bo nie mojem tłem jest kir.

Gdy się postać świata zmieni,
Ziemia krwią się zarumieni,
Waszych cierpień minie czas:
Wtedy z rószczką i buławą
Spuszczę się na tarczę krwawą
I znów siądę pośród was.

T. Z.



CHŁOP CO WYORAŁ ZBROJĘ.
(Rysunek Gersona.)

Kronika.

Wojna! Wojna! Ten okrzyk nagle, niespodzianie rzucony we Francyi rozległ się z szybkością błyskawicy na wszystkie strony świata, napełniając wszystkich dreszczem tajemnym. Tu dreszcz bohaterskiego męstwa, uśpionego życiem pokojowem, obudzonego teraz hałasem trąby wojennej; tam dreszcz trwogi przed wojną, od matek przeklętą, jak powiada łaciński poeta, przed wojną, która zrywa najsłabsze węzły, zawiesza najświętsze obowiązki. Tam znowu dreszcz nadziei; nieszczęśliwi, niewolnicy w pokoju, patrzą zwykle na wojnę, jako na tę, co niszcząc dobre i złe niszczy razem, waląc trony i państwa, rozrywając kajdany podbitych i uciśnionych ludów.

Wobec hałasów trąby wojennej milkną wszelkie inne głosy. Poezya ze sfer fantazyi przenosi się na plac boju. Dajcie dwa najbardziej prozaiczne narody i postawcie je naprzeciw siebie z mieczem w ręku, a sytuacya stanie się już poetyczną, i człowiek prozaiczny pod nawałem drogo okupionych wrażeń wychodzi ze skorupy powszednich potrzeb i przyjemności. Więc milknie poezya, nauka chowa się do samotnej pracowni i tylko pałasz brzęczy głośno, zapowiadając surowe i bezpodzielne panowanie siły.

Niegodzi się nam jednak rzucać całej uwagi na teatr wojny i zaniedbywać pola własnego, dlatego też zawracamy do naszej literatury i powiemy o kilku nowo wydanych książkach. W Poznaniu nakładem Żupańskiego wyszło „Słowo o języku polskim“ przy sposobności wieca językowego; napisał X. Choiński, członek azyatyckiego towarzystwa w Paryżu. Wiec językowy odbyty w Poznaniu pod kierownictwem Libelta poruszył naszych gramatyków i pobudził ich, że wystąpili z rozmaitemi uwagami, dotyczącemi kwestyi oczyszczenia języka naszego nazawsze od różnych naleciałości, które szkodzą jędrności i piękności języka. Między temi uwagami „Słowo o języku polskim“ bezsprzecznie pierwsze według znaczenia zajmuje miejsce. Autor głęboko wnikający w ducha mowy naszej, rozsmakowany w pisarzach złotej epoki, z żalem spostrzega, że najpoważniejsi nawet pisarze nasi zamało uwagi kładą na czystość swojego języka i nieraz w grube popadają błędy. Cóż mówić dopiero o drobnych pisarzach kiedy ci we wzorach swoich znajdują jakby zachętę do niedbalstwa?

Dziwi się autor, że tylko głosownia i nauka o formach, strona zatem języka naszego jakoby fizyczna, a więc zmienna i znikoma, miała być przeznaczoną pod obrady wieca, kiedy największe baczenie powinniśmy obrócić na stronę daleko ważniejszą, bo duchową, „byśmy znać nie kusili się zepsute wino przelewać w gąsiory za wielkim nabyte nakładem i trudem“. Czy kto powie „onę książkę“ lub „oną książkę“ w żadnym razie nic nierozumnego nie powiedział, owszem na obadwa wyrażenia znajdzie słuszne wywody. Jeżli jednak ktoś użyje wyrażenia „on obejdzie się bez książki“ (zamiast obędzie się), ten już zgrzeszył przeciw duchowi języka i nie znajdzie on żadnej obrony, choćby się nawet oprzeć chciał na najstarszem przedawnieniu, — bo rozumowej filozoficznej części prawa są nieodmienne.“

Nic słuszniejszego od tej uwagi księdza Choińskiego, błędy przeciwko głosowni i gramatyce są niczem wobec błędów przeciwko samej treści języka. W osobnym rozdziale przytacza autor wiele takich błędów, powszechnie przyjętych, rozbiera je krytycznie, i naucza, jak je naprawić. Ztąd książka jego jest bardzo pożyteczną dla wszystkich piszących, a zresztą i dla każdego Polaka, co kocha swój język i chciałby nim mówić poprawnie. Wskazówki księdza Choińskiego nauczą tego, czego żadna gramatyka nie nauczy.

W Poznaniu, także nakładem Żupańskiego, któremu trzeba przyznać wielką zasługę pod względem wydawczej działalności, wyszła z druku Boska komedya Danta Alighieri w przekładzie Ant. Stanisłowskiego, profesora na uniwersytecie w Kazaniu. Przekład bardzo wierny pod względem treści, pod względem formy odstępuje na tyle od oryginału, że nie rymowaną tercyną, ale białym jedynastozgłoskowym wierszem napisany. Za wielka to zresztą jest praca, abyśmy ją mogli na tem miejscu godnie ocenić, wytknąć błędy w szczegółach, lub podnieść zalety tych szczegółów. W każdym razie, potrzeba uważać nowy przekład Boskiej komedyi za bardzo cenny nabytek. Obfite komentarze, towarzyszące z osobna każdemu rozdziałowi, wtajemniczają czytelnika w świat owoczesnych stosunków.

Niedawno wyszły na świat „Pisma wierszem i prozą Stanisława Koźmiana“ także w Poznaniu i także nakładem Żupańskiego. Dotąd ukazał się tylko tom I. Zawiera on w sobie rzeczy dawniej już drukowane, ale zebrane teraz w komplecie. Część pierwsza mieści w sobie utwory oryginalne: drobne liryczne i epiczne poezye, hymny, ballady, sonety i t. p. Część druga przynosi nam przekłady z angielskich poetów. Pan Koźmian celuje przekładami swojemi i zajmuje zaszczytne miejsce obok Odyńca. Szczególnie pięknym wierszem odznacza się przekład powiastki poetycznej Tennysona Enoch Arden. Przytaczamy ustęp na próbę:

Pomknęli żwawo w górę, lecz gdy tam przybyli,
Gdzie od zrębu wyżyny las się w padół chyli,
Biedna Ancia, zbyt ciężką utrudzona drogą,
Osłabła i westchnąwszy rzekła: „Tutaj spocznę“.
Filip chętnie z nią został, gdy tymczasem skoczne
Dzieci — szczęsne, że same pohulać już mogą,
Puściły się w sam podół, i pełne uciechy,
Wśród radośnych wykrzyków jęły rwać orzechy.
Pną się w górę, gną, łamią oporne gałązki,
To łuskają, to całe rwą kosmate wiązki,
Nawołują się, klaszczą, szukają po lesie,
A rozkoszne ich gwary wiatr naokół niesie.

Język tego przekładu, jak widzimy, jest bardzo plastyczny. Musimy przypomnieć, że p. Koźiman zasłużył się

literaturze naszej przyswajając jej kilka znakomitych utworów Szekspira. Są to: Sen nocy letniej, Król Lyr, Dwaj panowie z Werony, Król Jan i Król Ryszard drugi. Jakżeby pożądaną było rzeczą, gdybyśmy nareszcie cały teatr Szekspirowski mogli mieć w pięknym i wiernym przekładzie. Jest to zapewne zawiele na siły jednego człowieka; ale gdyby się skupiło w tym celu i porozumiało kilku ludzi z talentem, rzecz mogłaby przyjść do skutku, a to tem bardziej, że część pracy już jest szczęśliwie wykonaną.

J. T.

Ze Świata.

(Nowy sposób płacenia długów.) Zofia Dupré była najpiękniejszą dziewczyną w mieście, nie dlatego, iż była doskonałą, bez wady i bardzo miłą, nie — wcale nie; ale było coś tak szczególnego, taki niewysłowiony urok w jej błękitnem oku, tak słodki uśmiech około jej różanych ust i tak szczególny podział światła i cienia w jej przypysznych czarnych włosach, że pociągała każdego na pierwsze wejrzenie, nim jeszcze miał czas przypatrzyć się bliżej jej wdziękom. Co zaś jeszcze bardziej podnosiło jej wartość w oczach mężczyzn, byłto jej majątek. Była ona niezawisłą dziedziczką znacznej majętności i nietylko nosiła prawdziwe dyamenty, których ogień równał się połyskowi jej oczu, ale posiadała nadto wcale piękną sumkę złożoną w banku, którą rozrządać mogła samodzielnie. Dlatego też nie można się dziwić, że miała wielu a może nawet za wielu wielbicieli, i że po jej małej główce uwijały się codzień myśli i wspomnienia o wszystkich tych mężczyznach, którzy starali się o jej rękę. Naturalnie jej majątku nie pragnął żaden! Wszakżeż oni wszyscy byli bezinteresowni, ci wielbiciele panny Dupré! Cóż dziwnego również, że długo się wahała, któremu oddać swoję rękę. To było niewątpliwe, że tylko jeden mógł ją otrzymać; ale któż miał być tym szczęśliwym? Tak w cichości wybrała już ona, ale niestety, było ich dwóch. Obadwaj byli piękni i młodzi — i wybór tedy chwiał się nanowo.

„Tak, ja lubię ich bardzo— mówiła panna Dupré w zamyśleniu sama do siebie siedząc przed zwierciadłem i przypinając ostatni splot swoich pięknych włosów; przyczem spoglądała marząco we własne oczy odbite w zwierciedle, jak gdyby były obce.—„Tak, ja obudwu bardzo lubię! Czasem podobają mi się więcej ciemne oczy i skromna postawa Henryka Jamet; czasem zaś przypadają mi więcej do gustu wesołe żarty i żywość Fryderyka Wallis. W oczach świata stoją oni obadwaj na równym stopniu. Obadwaj są szlacheckiego rodu — obadwaj dobrze wychowani i wykształceni. Obadwaj są buchalterami w wielkim domu bankowym de Lilva z równie skromną płacą; a jednak zrzędzi ciągle pani Aubray, ta wierna stara dusza, że chcę poślubić tylko buchaltera. Ba — i wstrząsła piękną główką — co mię to obchodzi. Ja mam dość pieniędzy dla siebie i dla króla mego serca; — gdybym tylko wiedziała, kogo mam posadzić na tronie.“

Nagły rumieniec oblał jej piękną twarzyczkę, jak gdyby się lękała, by jej nie podsłuchano; i w istocie weszła w tej chwili jej towarzyszka pani Aubray, dama w sędziwym wieku, do pokoju. Zofia położyła szczotkę i grzebień i przysuwając wielki fotel swemu gościowi rzekła:

— „I cóż pani Aubray, czy znalazłaś co dla mnie.“—Pani Aubray usiadła poważnie; nasunęła złote okulary lepiej na nos i patrzała spokojnie w róg pokoju. Cierpliwość żywego dziewczęcia musiała przebyć ciężką próbę, i po chwilce zapytała znowu szybko: „Czy dowiedziałaś się co nowego pani Aubray?“

Szanowna wdowa wyjęła swoję chusteczkę, rozwinęła ją i położyła zwolna na kolana przyciskając ją swoją chudą ręką. Zofia miała wielką ochotę wstrząsnąć porządnie starą, gdy nagle ozwała się ona zwolna i z miną tajemniczą: „Podług życzenia twego pani zasiągnęłam niejakich wiadomości u obudwu wiadomych młodzieńcach.“ — „I cóż?“ — „I po dokładnej rozwadze muszę przyznać pierwszeństwo charakterowi i osobie Henryka Jamet.“

Zofia ofuknęła się. „Ależ pani Aubray—rzekła—ty nie wiesz, że Henryk jest cokolwiek, chociaż nie zawiele ambitnym i samolubnym, gdy przeciwnie Fryderyk odznacza się wspaniałomyślnością i szczerością.“ — „Z jakiegoż to źródła, panno Dupré, czerpiesz pani to zdanie?—spytała zwolna i uroczystym głosem pani Aubray. Zofia zarumieniła się trochę i spuściła głowę.

— „No, wprawdzie nie mogę powiedzieć, bym miała na to niezbite dowody, ale... ale widzisz pani Aubray, niedawno wzywałam obudwu razem, ażeby uczynili coś dla ubogich, i wtedy rzekł Henryk, że wydał już swoję nadwyżkę i nic dać nie może; Fryderyk zaś oddał mi natychmiast z radością i największą ochotą swoję sakiewkę do rozporządzenia.“—„To prawda, odrzekła pani Aubray szyderczym głosem.—Pomiędzy innemi dowiedziałam się także, że Henryk płaci swoje długi, dopełnia z największą akuratnością swoich zobowiązań, a nadto wspomaga kilku jeszcze przyjaciół, znajdujących się w gorszem położeniu lub chorych. Młodzieniec, który w dzisiejszych czasach tak postępuje, jest...“ —„Zapewne, zapewne pani Aubray—przerwała Zofia pochwały sędziwej staruszki, pragnąc jak najprędzej usłyszeć drugą część jej sprawozdania — Ale cóż powiesz o panu Wallis?“ Pani Aubray ścisnęła wyschłe swe usta i patrzała znowu w róg komnaty. Dotknęło ją to, że panna Zofia tak natarczywie przerwała jej mowę. Po niejakim czasie ozwała się znowu:

— „Co... wiem... o... panu... Wal... lis, moja droga? Moja praczka pierze przypadkowo także jemu; mój synowiec daje sobie robić suknie u tego samego krawca, zacnego starca, który ma chorą żonę i sporo dzieci; a ja znam też zacną kobietę, która przed rokiem szyła koszule dla Fryderyka. Wszystko to są poczciwi ludzie, którzy żyją z pracy rąk swoich i nie posiadają żadnych zasobów...“—„Więc!“—przerwała Zofia znowu niecierpliwie rozwlekłe opowiadanie pani Aubray. —„Moja droga—mówiła taż dalej zwolna i uroczyście—ani praczka, pani Flatherie, ani krawiec, pan Sevel, ani szwaczka, Deborah Jones, nie otrzymali dotąd swojej należytości. Sevel jest w rozpaczy. Doborah potrzebuje pieniędzy; a jej oburzenie jest tem większe, iż pan Fryderyk Wallis oświadczył jej otwarcie z całą bezczelnością, że ani mu się śni zapłacić.“ Zofia słysząc to pokraśniała cała.—„Byćże to może, pani Aubray?“—zawołała.—

„Nietylko być może, ale istotnie tak jest“—odrzekła spokojnie pani Aubray.—„Ależ, moja droga—ciągnęła staruszka dalej—nie działaj za pospiesznie. Posłuchaj mnie, mam piękny plan.“ I przy tych słowach nachyliwszy się do Zosi szeptała jej coś do ucha. Zofia klasnęła w ręce.—„Wybornie, zawołała! Jeszcze dziś to zrobię!“

Byłaby zapewne jeszcze więcej mówiła, ale przerwała jej służąca, która w tej chwili weszła oznajmując przybycie pana Fryderyka Wallis. Ten swobodnie jak zwykle przechadzał się po salonie, gdy Zofia weszła.

— „Dobry dzień, panno Dupré. Myślałem, że pani zamierzasz odwiedzać dziś domy ubogich?“—spytał z galanteryą.—„I nie omyliłeś się pan. Właśnie wychodzę—odrzekła Zofia biorąc swój szal. Pan Wallis ukłonił się i rzekł z uszanowaniem: —„Czy pozwolisz pani, ażebym jej towarzyszył i oddał moję sakiewkę do jej dyspozycyi, jak umówiliśmy się wczoraj?“ — „Rozumie się, panie Wallis, przyjmuję pańską sakiewkę dla ubogich.“ To mówiąc nastawiła rękę, a młody człowiek złożył na niej swą sakiewkę. Gdyby był kto w tej chwili śledził twarz jego, byłby zupełnie zwątpił o jego dobroczynności. Nie zdawało mu się, żeby ofiara jego tak stanowczo została przyjętą. Ale Zofia udawała, że nic nie dostrzegła, i rzekła: „Mój powóz czeka przed bramą. Czy raczysz pan wsiąść ze mną?“—„Z największą przyjemnością, pani.“

Szybko potoczył się powóz, i pan Wallis marzył o tem, jakby to pięknie było, gdyby został współwłaścicielem tego eleganckiego powozu; Zofia zaś patrzała w milczeniu przed siebie.—„Stań tu, Michale — zawołała nagle, i powiedz panu Sevel, który mieszka na drugiem piętrze, że pragnę z nim mówić.“

Pan Wallis zbladł z przestrachu, ale Zofia zajmowała się swoją torbeczką i nie zważała na niego. Stary krawiec zbiegł na dół i przystąpił do powozu kłaniając się bez ustanku. Goście w powozach nie zdarzali mu się co dnia. Gdy Wallis go poznał, usunął się w kąt powozu, ażeby go nie widziano. —„Czem mogę pani służyć?“ — spytał krawiec.—„Zdaje mi się, że należy się panu pięćdziesiąt pięć dolarów od pana Wallis?“ —„Tak jest, pani.“—„Oto są pieniądze—rzekła Zofia—i proszę wystawić mi kwit na to.“ — Krawiec wziął pieniądze z wyrazem zadziwienia na twarzy i podał pokwitowanie. Zofia oddała je młodemu człowiekowi, który jak skamieniały siedział w kącie, i pojechała dalej uśmiechnięta i wesoła jak zwykle.—„Stań tu!“—zawołała znów po chwili na woźnicę—i spytaj o panią Denis Flatherie. Ach, otóż ona przy balii! Pani Flatherie, ile winien pani pan Wallis?“ — „Dziewiętnaście dolarów i pięćdziesiąt centów.“ — „Oto są.“—Znowu otworzyła się sakiewka i pozbyła części swojego ciężaru. Poczem ruszył powóz dalej z głośnem błogosławieństwem praczki.

— „Panno Dupré,—ozwał się pan Wallis cały zaczerwieniony.—Nie wiem istotnie, co“... — „Mój drogi panie Wallis — przerwała mu — nie powinieneś pan nigdy zapominać, że dobroczynność musi się zaczynać we własnym domu. Sposób, w jaki wydajemy pańskie pieniądze, jest piękniejszy i lepszy, niż gdybyśmy je wydali na niepotrzebne rzeczy. Michale, jedź pod Nr. 57. przy ulicy cesarskiej. Tam mieszka panna Jones. A, otóż jesteśmy na miejscu. Pytaj o pannę Jones, Michale.“ Panna Jones ukazała się. Była to stara, bardzo chuda niewiasta, z srebrnemi okularami na nosie i całym składem igieł na piersiach.—„Pan Wallis pragnie pani zapłacić, panno Jones. Czy zechcesz pani powiedzieć, ile dług jego wynosi?“—„Dwadzieścia cztery dolarów.“—„Dwadzieścia cztery“—powtórzyła Zofia.—Mamy właśnie dwadzieścia pięć w naszej sakiewce. Przyjm pani tego jednego dolara jako wynagrodzenie za długą zwłokę. Nie ma za co dziękować, panno Jones, dostajesz tylko to, co ci się oddawna należało. Teraz jedźmy dalej, Michale. Gdzie pan życzysz sobie wysiąść, panie Wallis?“ — „Jabym tu wysiadł, jeźli pani pozwoli.“ — „Bardzo dobrze, ale nie bez swojej sakiewki, panie Wallis. Wprawdzie jest ona próżna, ale zawsze nie bez wartości dla pana. Chciej pan ją odebrać, i jeźlim dziś panu dała za surową może lekcyą, chciej pan wierzyć, żeś na nią zasłużył.“

Fryderyk milczał i gryzł wargi chowając próżną sakiewkę. „Kto jej to mógł powiedzieć“—mruczał sam do siebie wysiadłszy z powozu.

Zofia pojechała do domu i opowiedziała towarzyszce rzecz całą, a gdy pan Henryk Jamet tego samego wieczora przyszedł i śmiało prosił o rękę Zofii, otrzymał potwierdzającą odpowiedź.

„To przeklęte szczęście jego!“—zawołał Fryderyk, słysząc o tem małżeństwie, ale o tem nie wspomniał nikomu, jak on sam dopomógł mu do tego szczęścia.

(Zakład szalonych.) W znanym domu szalonych w Bedlam znajdowało się dwóch znakomitych Anglików, którzy skutkiem wrodzonej Anglikom namiętności zakładania się o wszystko nadwątlili swoje stosunki majątkowe. Obadwaj ci panowie wyznali sobie nawzajem, że byli szaleni; tylko w tem jednem zgodzić się nie mogli, kto z nich osiągnął najwyższy stopień szaleństwa. Każdy rościł sobie pierwszeństwo, a w końcu założyli się o trzy funty szterlingów, które miał wygrać ten, kto największe szaleństwo popełni. Rozjemcą miał być dozorca; jednakże ukrywali oni przed nim jak najstaranniej przedmiot swojego sporu. Dozorca nie dostrzegł nic, jak tylko że obadwaj ci szermierze zakładowi nadzwyczajnie spoważnieli i zamyślali się, co pochodziło ztąd, że w Bedlam nie łatwo było znaleźć sposobność do szalonych wybryków, gdyż pacyentów strzeżono bardzo pilnie; i dla tego też potrzeba było głębokiego namysłu, ażeby wynaleźć psotę, któraby i tu wykonać się dała. Usposobienie to trwało kilką dni, i lekarz sądził, że ci panowie popsuli sobie żołądek, co było tem podobniejszem do prawdy, iż byli oni najwybredniejszymi miłośnikami puddingu w Bedlam. Zarządzono tedy odpowiednią kuracyą mniemanej słabości; wszelkie protestowanie nie pomogło nic, gdyż nie wierzono szalonym, utrzymującym ciągle, że są zupełnie zdrowi. Łatwo pojąć tedy, że obadwaj ci gentlemeny, skazani mimo najlepszego apetytu na kuracyą głodową, musieli być wielce oburzeni na lekarza, i że myśl obudwu zajmowała się równocześnie tym nieszczęśliwym uczniem Esklapa.

„Temu łotrowi ja muszę wypłatać mojego figla!“ — pomrukiwał jeden, zaciskając pięść ze złości. To samo właśnie postanawiał także drugi. Pewnego poranku tedy, gdy mieszkający w zakładzie lekarz leżał jeszcze w głębokim śnie, zrobił

mu jeden z gentlemenów bardzo wczesną wizytę, co mogło tem łatwiej nastąpić, iż jako dobroduszny szaleniec nie był trzymany pod bardzo ścisłym dozorem. Potrafił więc dostać się aż do sypialni lekarza, przystąpił do łóżka śpiącego i wyjął nożyce i brzytwę. Zanim lekarz się ocknął, było już pierwsze cięcie nożycami dokonane, a gdy otworzył oczy, ujrzał nieborak błyszczące nad swoją głową narzędzia zabójcze.

— „Bądź pan łaskaw leżeć jak najspokojniej” — rzekł gentlemen — nie stanie się panu nic złego. Pan cierpisz na zatkanie mózgu, i potrzeba przeto ostrzydz panu głowę. Tylko nie ruszaj się pan, gdyż inaczej byłbym zmuszony poderznąć panu gardło, co jest radykalną kuracyą przy zatkaniu mózgu.”

Można sobie wyobrazić przestrach lekarza, gdy poznał swego szalonego pacyenta, którego skazał na kuracyą głodową. Wszelkie zapewnienia, że jest zupełnie zdrów, wszelkie przedstawienia, że zatkanie mózgu, jeźliby rzeczywiście istniało u niego, nie dać się usunąć ostrzyżeniem włosów, nie przydały się na nic; szaleniec obstawał uporczywie przy swojem i wznosił ostrą brzytwę, tak że w końcu uznał lekarz za najlepsze poddać się mimowolnej strzyży, rozumując całkiem logicznie, że lepiej postradać włosy, które odrosną, niż życie. Z najpoważniejszą tedy miną na świecie a oraz z zadziwiającą zręcznością i pewnością wykonywał szaleniec swoję operacyą; zaledwie kwadrans upłynął, była już rzecz skończona, głowa i broda biednego lekarza były tak gładko ostrzyżone, że nawet mikroskopem nie byłoby można dojrzeć na nich włoska. Po dokonaniu tego dzieła przypatrywał się gentlemen z największem zadowoleniem swojej ofierze, a potem rzekł całkiem spokojnie: „Teraz potrzeba panu cokolwiek ruchu na świeżem powietrzu; sukien nie potrzebujesz pan wdziewać, gdyż przeszkadzają one transpiracyi; owszem proszę pana o zrzucenie nawet tej niepotrzebnej koszuli, a potem idź pan z Bogiem, gdzie się panu podoba.”

Lekarz, któremu szło tylko o to, ażeby oddalić się jak najprędzej od niebezpiecznego szaleńca, który ciągle jeszcze stał z brzytwą nad nim i każde poruszenie jego podejrzliwie śledził, uczynił czemprędzej zadość jego żądaniu i wymknął się z pokoju podobny nieszczęśliwemu jeńcowi, który wyrwie się z rąk Indyan, zaczynających już ściągać mu skórę z głowy. Ów gentlemen tymczasem zdjąwszy i schowawszy swoje suknie, rozciągnął się wygodnie na łóżku lekarza, założył jego szlafmycę na głowę i oczekiwał spokojnie dalszych wypadków. Jakoż niedługo czekał; zaledwie bowiem ułożył się, otwarły się drzwi z cicha, i wszedł ktoś — a mianowicie nie kto inny, tylko drugi gentlemen, który równie jak jego spółzawodnik chciał zemścić się na lekarzu, a tem samem zarobić trzy funty szterlingów. Gentlemen w łóżku słyszał, że ktoś wszedł do pokoju, ale chrapał zawzięcie i nie ruszał się wcale. Ale jakież musiało być jego zadziwienie, gdy poczuł nagle, że go pochwycono za czupryne, gdy posłyszał kłąpnięcie nożyc i poznał, że to idzie o jego włosy.

„A diabliżby tu spali” — pomyślał gentlemen, otworzył oczy i zdziwił się niemało, ujrzawszy swego przyjaciela, który zalecał mu z miną najpoważniejszą, ażeby zachował się spokojnie, jeżeli nie chce ponieść jakiego uszkodzenia. — „Ależ ja jestem twoim przyjacielem, Sir” — wołał gentlemen przerażony. Tamten zaś mrugnął chytrze oczyma i rzekł: — „Bardzo dobrze, Sir; ja mam zaszczyt znać pana, i właśnie dla tego muszę pana ostrzydz. Jeden strzyże drugiego; tak się dzieje zwykle. Pan mi odjąłeś jadło, ja panu odejmę włosy; pan dasz mi znowu całą porcyą, a ja pozwolę, ażeby panu napowrót odrosły włosy.” — „Nie, to zaprawdę szaleństwo!” — zawołał ostrzygany gentlemen. — „Tegożbo właśnie potrzeba, żeby szaleństwo było jak największe” — odrzekł tamten z niewzruszoną obojętnością, wykonując dalej swoję operacyą na drżącym koledze, która powiodła mu się równie dobrze, jak poprzednia na doktorze. A gdy już była ukończona, odwrócił się w milczeniu i wyszedł poważnym krokiem z pokoju.

Nie można się dziwić, że ta druga scena odbyła się bez wszelkiej przeszkody, gdyż w pierwszej chwili nie chciał nikt wierzyć lekarzowi, że to on; uważano go za szalonego, gdyż nie wyglądał wcale na rozsądnego człowieka, i chciano go zamknąć koniecznie. Z trudnością tylko udało mu się wyjaśnić dozorcom, jak okrutnie z nim postąpiono, i wtedy dopiero udali się z nim dobrze uzbrojeni do jego pokoju, gdzie ostrzyżony cyrulik, owinięty w szlafrok lekarza i paląc jego fajkę, przechadzał się spokojnie tam i nazad. Nowe zdumienie, gdy lekarz ujrzał żywy swój portret! — A ponieważ gentlemen był również nie do poznania, jak lekarz, korzystał on z tego, aby się utrzymać w posiadaniu godności doktorskiej. Wszczęła się tedy zacięta kłótnia, każdy utrzymywał, że przeciwnik jego jest szalony, a wreszcie przyszło do tego, że obudwu uznano za szalonych. W tej chwili wszedł drugi gentlemen, który napróżno szukał swego kolegi, ażeby mu opowiedzić swój figiel; ale jakżeż się zdumiał biedny błazen, gdy zamiast jednego ostrzyżonego ujrzał dwóch naraz! Jeżeli dotąd miał rozum pomieszany, to teraz stracił go zupełnie; nie mógł w żaden sposób rozeznać swojego kolegi, i zaczął sam uważać siebie za lekarza, a obudwu ostrzyżonych za szaleńców, którzy się założyli. „Wyście szaleni obadwaj — wołał — i zapłaćcie sobie nawzajem trzy funty. Powróćcie do waszych cel, a otrzymacie całe porcye.” Słowem szalony gentlemen przywłaszczał sobie godność lekarza i odgrywał rolę swoję doskonale. Wszystko składało się istotnie tak, że nawet widzowie mogli postradać rozum; i biedny doktór byłby zgubionym bez ratunku, gdyby na szczęście nie był go odwiedził jego kolega, ażeby pomówić z nim o pewnej sprawie, o której nie mógł naturalnie wiedzieć nikt inny, prócz tego ostrzyżonego, który był prawdziwym lekarzem. Powoli wyjaśniła się rzecz cała, i dozorca przyznał bezwarunkowo nagrodę drugiemu cyrulikowi, którą też przegrywający mu wypłacił, ale naturalnie w słowach tylko, gdyż nie miał prawa rozrządzać swoim majątkiem.

(O stosunkach familijnych Karola Dickensa) opowiada przyjaciel jego, Paweł Feval, w dzienniku „Gaulois” co następuje: Gospodarstwo domowe Dickensa w Gads-Hill w pobliżu Rochestru w hrabstwie Kent prowadziła jego bratowa, Georgina Hogarth, która od 25 lat go nie opuszczała. Jestto urocza siedziba, którą sam sobie urządził. Był on dumnym z tego, że miał tam jaskółki, które nigdy nie przyby-

wają do Londynu. Prowadził tam życie całkiem pojedyncze ale na wielką skalę, i cała okolica uwielbiała go. Karol Dickens, najstarszy jego syn, objął kierownictwo dziennika swego ojca: „Al the year round," który bez zaprzeczenia jest najbardziej rozpowszechnionym ze wszystkich dzienników literackich. Dickens sam ogłaszał w nim największą część swoich „Powieści kolędowych" (Christmas Carols). Drugi syn jego, Sidney, jest porucznikiem okrętowym. Trzeci, Alfred, karczuje ziemię w Ameryce. Harry, czwarty syn, jest na uniwersytecie w Oxfordzie. Ten był ulubieńcem ojca. Ażeby go mieć bliżej, miał Dickens stacyą kwaterową w Londynie przy ulicy Wellington na wybrzeżu, w domu gdzie wychodził jego dziennik; tam utrzymywano dla niego zawsze w pogotowiu pokój z salonem i kuchnią. Kto czytał „Mikołaja Nickleby" i „No Thoroughfore," romans, z którego Fechter czerpał treść do swojego dramatu: Przepaść, granego do stu razy w Paryżu, ten wié, jak czułym był Dickens dla dzieci. Czytałem listy Dickens'a do jego młodego przyjaciela, Pawła Fechtera, które są arcydziełami w swoim rodzaju; i bawiło go to, pisać dla tego Pawła historyą Anglii dla młodocianego wieku, której rękopism jest w posiadaniu familii Fechterów. Najstarsza córka jego, Miss Mary, jestto nadobna osoba, która jednakże nie chciała iść nigdy za mąż. Druga, Kate, słynie w całej okolicy jako rzadka piękność. Poślubiła ona Karola Collins, brata sławnego autora tegoż nazwiska, który był przez jakiś czas sekretarzem Dickensa. Oprócz tych miał on jeszcze dwoje innych dzieci. Zwyczajne kółko Dickensa składało się z państwa Fechterów, z Shortleya znakomitego krytyka, z malarza Mariusa Stone, którego traktowano w domu jak syna, z państwa Fosterów, z panny Boyle i kilku innych. Po oddaleniu się pani Dickens przyjmowano rzadko tylko gości w Gads-Hill. Mam kilka wybornych listów, których nie pozwolił mi ogłaszać Dickens, tudzież ostatni numer dziennika „Gads-Hill Gazette," który wyszedł przed rozłączeniem się małżonków. Ten dziennik humorystyczny jest pisany ołówkiem i pełen najżywszej wesołości. W Gads-Hill wstawał Dickens codziennie o 5tej godzinie zrana i pracował do 9tej, potem szedł na śniadanie, a po śniadaniu wracał do pracy. W południe kończyła się jego praca dzienna. Nawet gdy nie miał w domu obcego gościa, ubierał się do obiadu w czarną suknię i biały krawat. Miss Hogarth i starsze córki siadały do obiadu tylko w największej toalecie. Dickens lubił ptaki i psy, ale przedewszystkiem kwiaty. Przed odjazdem do Ameryki żałował, że nie mógł zabrać z sobą wazonu Magnioli, który mu dniem przedtem przysłano; a pierwsza rzecz, którą ujrzał za przybyciem do Nowego Yorku w swoim pokoju, był olbrzymi bukiet Magnoli. Miss Boyle i telegraf sprawiły to czarodziejstwo."

Podług doniesienia w Atheneum pozostawił Dickens rękopis swojego romansu: „Tajemnica Edwina Drooda" prawie już na ukończeniu, ale jakby w przeczuciu blizkiego zgonu swego zrobił postanowienie względem ugody z nakładcą na przypadek, jeźliby nie skończył romansu. Załączamy tu jeszcze niektóre szczegóły z jego testamentu. Obrazy i inne dzieła sztuki, będące w jego posiadaniu, mają być sprzedane w drodze licytacyi. Swoję bibliotekę zapisał najstarszemu synowi, również jak dziennik „All the year round," którego spółredaktorem był tenże już od dłuższego czasu, i który zamyśla prowadzić dalej w duchu swojego ojca. Rękopisy zmarłego znajdują się w ręku wykonawców jego testamentu, pana Fostera i Miss Hogarth. Co do honoraryum, otrzymanego za „Klub Pikwików," któremu Charles Dickens zawdzięcza swoję sławę, czytamy w dziennikach angielskich co następuje: „Honoraryum, które pobierał młody, nieznany autor, było bardzo skromne: 15 gwineów (105 talarów) za każdy numer o dwóch arkuszach, gdy w pół roku potem byłby każdy nakładca dał chętnie 100 gwineów za arkusz. Gdy jednak nakładcy spostrzegli się, jak przyjemnie omylili się w swych rachubach, i gdy dwunasty zeszyt opuścił prasę, posłali młodemu autorowi w dowód uznania asygnacyą na 500 funtów szterlingów. Z każdym dalszym numerem rosło powodzenie romansu, i oprócz umówionego honoraryum posyłali mu nakładcy dalsze sumy, razem do 3,500 funtów szterlingów, gdy tymczasem sami sprzedawszy do 40,000 egzemplarzy, zebrali czystego zysku do 20,000 funtów szterlingów.

(Z życia republikanina.) Zmarły niedawno w Bruxelli na wygnaniu republikanin Barbes, jak wiadomo znakomita osobistość demokracyi francuzkiej, odznaczał się także w swojem życiu prywatnem, wspaniałomyślnem sercem, szlachetną prostotą obyczajów i pełną charakteru oryginalnością. Dzienniki opowiadają teraz wiele ciekawych szczegółów o nim. Podczas wypadków rewolucyjnych z 12 i 13 maja 1839 roku otrzymał Barbes postrzał w sam środek czoła. Szczęściem prześliznęła się kula popod skórę dokoła głowy i wyszła powyżej lewego ucha. Barbes został odniesiony do profektury policyii musiał tam przez cały dzień odbywać konfrontacyą, ale nie zdołano wydobyć z niego ani słowa. Dopiero wieczorem, gdy się kładł do łóżka, rozmawiał z dyrektorem o kuli, która go ugodziła, i rzekł żartobliwie: „Nie rozumiała się ona widzę na geometryi; byłbym zginął, gdyby wiedziała, że najkrótszą drogą jest linia prosta."

Za panowania Ludwika Filipa zapisał mu jakiś krewny w testamencie sumę 300,000 franków. Barbes dowiedział się, że zapis ten sprawia wielką zgryzotę kilku innym dalszym krewnym, którzy również rościli sobie prawo do spadku. Zaprosił ich tedy do notaryusza i rzekł wziąwszy do rąk akt oryginalny: „Ten testament martwi was, nieprawdaż? Więc nie istnieje już." I przy tych słowach podarł dokument w kawałki.

Przed trzema miesiącami przyszedł do niego jakiś nędznie ubrany młody człowiek. „Panie—rzekł rumieniąc się i z nieśmiałością—nie byłbym się poważył stanąć przed panem, gdybym równie jak pan nie był ofiarą bonapartyzmu. Nie żądam od pana jałmużny, ale proszę o pożyczkę i pracę, któraby mi dostarczyła środków do zapłacenia długu."—„A ileż pan sobie życzysz spytał Barbes.—„Sto franków wystarczyłoby mi."—„Oto są; pożyczam je panu, ale pod warunkiem."—„O panie! wszystko, co pan rozkażesz."—„Pod warunkiem, ażebyś pan więcej nie kłamał."

Pewnego dnia odwiedzał swego przyjaciela, który mieszkał niedaleko Paryża. Na przechadzce w lasku przyszli nad wielki staw, gdzie kilka kobiet, otoczonych gronem igrających

nieostrożnie dzieci, prało bieliznę. Naraz posłyszeli okropny krzyk rozpaczy: Jedno z dzieci wpadło do wody i znikło pośród wikliny u brzegu. Barbes rzucił się natychmiast do stawu i wyratował dziecię. Matka rzuciła mu się do nóg i ze łzami radości ściskała jego kolana, ale Barbes wyrwał się z jej objęć i oddalił spiesznie z swoim przyjacielem.

(Nowy tunel pod Tamizą.) Z powodu olbrzymich postępów w technice te same budowle, które przed 30 jeszcze laty cały świat swą wielkością zdumiewały, uważamy dzisiaj za rzecz całkiem zwyczajną. Chcemy tu mówić o dawnym i dzisiejszym tunelu. Ten ostatni jest już ukończony i za kilka dni będzie do użytku oddany, a przecież bardzo mało o nim mówiono, a jeszcze mniej po dziennikach pisano; gdy tymczasem dawny tunel, długie lata budowany, ciągle był podziwem świata. Jakkolwiek obydwa tunele nie mają tak bardzo wielkiego znaczenia pod względem kommunikacyi, gdyż dawny urządzony jest tylko dla pieszych, dzisiejszy zaś dla omnibusów, porównanie jednak obydwóch ze sobą jest dosyć dla czytelnika ciekawym przedmiotem.

Stary tunel zbudowany został przez inżyniera Brunela w 18 latach, nowy zaś przez inżyniera Berlow skonstruowany i wykonany w 11 miesiącach. Przy budowie pierwszego Tamiza 5 razy zalewała roboty, gdzie nawet sam inżynier Brunel znajdował się raz w największem niebezpieczeństwie, a zatykanie powstałych w rzece otworów pociągnęło za sobą ogromne wydatki. Przy budowie nowego tunelu przez cały ciąg roboty nie było w nim nawet tyle wody, aby robotnik mógł sobie nogi zamaczać. Grubość murów pierwszego tunelu wynosiła 38 stóp, wysokość 22 stóp, z dwoma szybami po 50 stóp średnicy, po 84 stóp głębokiemi. Tunel dzisiejszy jest to żelazna rura na 8 stóp średnicy, z dwoma szybami po 10 stóp średnicy a po 54 stóp głębokości.

Dawny tunel kosztował przeszło 600,000 funtów szterlin. (rs. 3,600,000), nowy zaś kostuje nie całe 20,000 funtów szterlingów (120,000 rs.)

Passażer, który zamierza z Towerhill dostać się na Tooleystreet na drugą stronę Tamizy, siada na odpowiednią platformę po nad szybem dla 7 osób urządzoną i spuszcza się na niej pod ziemię na 50 stóp głęboko, zkąd wchodzi do sali a z tamtąd omnibusem na nizkich kółkach na 20 osób urządzonym w 3 minutach czasu, za nie całe 6 groszy, dostaje się na drugą stronę Tamizy, gdzie go znów za pomocą mechanicznej windy na wierzch szybu wydobywają.

(Smaczna gęś). Kiedy zmarły niedawno biskup anglikański z Lichfield, Samuel Butler, był jeszcze prostym plebanem, sławny doktor Parr, żyjący w jego okolicy, odwiedzał go bardzo często, i zwykle po każdej wizycie zostawał u niego na obiedzie. Pewnego razu, jadąc konno do swego przyjaciela, Dr. Parr zaskoczony w drodze straszną ulewą, przybył do plebanii zmoczony do nitki. Gospodarz wprowadził go natychmiast do swego sypialnego pokoju, i zmieniwszy jego przemokłe ubranie na swoje własne, usadowił go przed kominkiem, na którym ożywczy dla skrzepłych członków doktora gorzał ogień, sam zaś powrócił do swego pokoju, by dokończyć kazania, jakie swoim parafianom miał nazajutrz powiedzieć. Niedługo potem gość jego osuszony, otuliwszy się w szlafrok gospodarza, z czapeczką watowaną na uszach, i obuty w jego pantofle wszedł cichutko do pracowni, i nie chcąc mu przeszkadzać w pracy, zasiadł z jakąś książką w ręku na uboczu, czekając cierpliwie na pokrzepienie sił swoich obiadem. Po kilkunastu minutach milczenia, w ciągu których pleban był zajęty pismem a doktor czytaniem, ten ostatni podniósł nagle głowę, obejrzał się dokoła, i zaczerpnąwszy kilka razy całemi piersiami i nosem powietrza, zawołał radośnie: „Mamy gęś na obiad!“ — „Ja na prawdę nie wiem, odpowiedział gospodarz, ale to być może, bo moja kucharka wie doskonale, co ty lubisz“. — I znowu nastąpiło milczenie, przerywane tylko skrzypem pióra piszącego kazanie plebana. — „Pewny jestem gęsi!“ — zawołał znowu po jakimś czasie Dr. Parr, wzdychający czule do obiadu i mile podrażniony dolatującymi go z kuchni zapachami. Bo też rzeczywiście całe mieszkanie plebana napełnione było w tej chwili wonią doskonale upieczonej gęsi. „Wyborne jedzenie! — wyborne, dalibóg!“—mówił doktor cmokając językiem. — „Proszę panów na obiad!“ zawołała w tej chwili gospodyni plebana, uchylajac drzwi do pracowni swego pana. Gość zgłodniały zerwał się na równe nogi, by w sypialnym pokoju przebrać się w pozostawione przed kominem własne odzienie. Ależ, o zgrozo! Straszny widok uderzył jego oczy! Ulubiony kapelusz, tudzież starannie ufryzowana i wypomadowana peruka doktora, zrzucone przypadkiem przez swawolną kotkę, smażyły się nasiąkłe rozmaitemi olejkami i tłuszczem w zarzewiu, wyziewając najponętniejszy zapach pieczonej gęsi, zapach, który biednego przemokłego doktora przed chwilą tak apetycznie rozmarzył. Łatwo sobie wyobrazić minę człowieka, który straciwszy smakowitą gęś tak wonnie pieczoną, pozbywszy się kapelusza i peruki, był w końcu przymuszony pokrzepić siły swoje tylko befsztykiem i nieodzownem w kuchni angielskiej pudyngiem. Gęś przepadła, a woń z tych usmażonych przyborów jego mądrej głowy była mu jedyną, smutną przyprawą tak gorzko zawiedzionej nadziei! Czy mu ta gęś smakowała?

(Resztki szczepów indyjskich w Ameryce Północnej.) Podług przedłożonego kongresowi w Washingtonie sprawozdania komisarza Parkera wynosi liczba żyjących w Stanach Zjednoczonych Indyan 378,577. Z tych przypada 75,000 na Alaskę. Ubywanie ludności indyjskiej jest ciągłe, i nawet cywilizacya nie kładzie mu tamy. Cherokcesy (14,000), Creeky (12,294), Choktawy (12,500) i Ckikasawy (4,500), którzy zamieszkują terytoryum indyjskie i skutkiem przyjęcia cywilizacyi znajdują się w dobrych stosunkach, różnią się od Indyan żyjących z myśliwstwa tem tylko, że ich ubywanie nie postępuje z równą szybkością, jak dzikich spółplemieńców. Dnie Indyan w Stanach zjednoczonych są już widocznie policzone. Pomimo nowych szczepów, jakie przybyły przez nabycie Texasu, Nowego Mexyku, Kalifornii i Alaski, nie jest dziś ogólna liczba Indyan większa, niż byłą w roku 1845 na ówczesnem terytoryum Stanów zjednoczonych.

(Dwunożne kozły.) W Nowym Yorku znajduje się zewnątrz na giełdzie pieniężnej tarcza zegarowa, na której wskazywane bywają co minutę zmiany ażya. Codziennie tedy

widzieć można naprzeciw tego złotego zegara na ulicy kupkę „mniejszych” spekulantów giełdowych, którzy nie mają z czego opłacać tax wysokich, pobieranych za wstęp na giełdzie. Spekulują oni więc na mniejszą skalę, a to w ten sposób, że zakładają się o każde poruszenie złotej skazówki aż do sumy 5 dolarów. Wyższe zakłady są wykluczone. Zysk i stratę zapisują do księgi, a przy zamknięciu tej osobliwszej giełdy ulicznej następuje obrachunek. Kto do godziny trzeciej tego samego dnia nie zapłaci przegranej kwoty, tego wykluczają zaraz z owej giełdy ulicznej, i nie wolno mu grać potem przez cały rok. Tymto spekulantom nadano nazwę Kozłów, a to dla tego, ponieważ poruszenia ich głów, podnoszących się co chwila i spuszczających napowrót dla obserwowania zegara i notowania zmian ażya, podobne są całkiem do bodzenia kozła.

(Zabobon.) U wszystkich ludów dzikich na ziemi zachodzi szczególna zgodność co do tego, że uważają one zaćmienia słońca lub księżyca za chorobę ciał niebieskich, lub też za zamach smoków, olbrzymów albo demonów, pragnących pochłonąć to ciało niebieskie. Wszędzie też istnieje u nich zwyczaj, że starają się w takim razie przejednać złego ducha ofiarami, lub też odstraszyć olbrzyma albo smoka szczękiem broni i wrzawą. U Ottomazów nad rzeką Orinoko łączą z tem kobiety szczególniejszy podstęp. Podczas gdy mężczyzni wznoszą okropne wrzaski i błagają księżyc gorąco, ażeby nie umierał jeszcze, pozostają kobiety cicho i obojętnie w swoich chatach. Gdy mężczyźni widzą, że usiłowania i prośby ich są bezskuteczne, natenczas wracają do domu, łają kobiety za ich obojętność na chorobę przyjaciela, a w końcu proszą je o pomoc. Te jednak odmawiają tak długo swej pomocy, aż ją okupią mężowie podarkami w sukniach i strojach. Wtedy wychodzą kobiety na dwór, upraszają uprzejmie księżyc, ażeby pozostał przy nich, a że zwykle wtedy kończy się już zaćmienie, więc wracają one każdą razą z tryumfem do swoich wdzięcznych mężów. Jeden tylko lud stanowi w tym względzie wyjątek, mianowicie murzyni nad Gambią, którzy w czasie zaćmienia zachowują się całkiem spokojnie, ponieważ podług ich mniemania powstaje ono ztąd tylko, że wielki kot przesuwa swoję łapę pomiędzy nimi i księżycem.

(Sławny oszust.) Sąd karny w Brukseli zajmuje się w tej chwili żywotem bardzo ciekawym pewnego oszusta, którego dzieje są szeregiem niewyczerpanych awantur, zarazem miłosnych i złodziejskich. Nie tak dawno w hotelu Europejskim przytrzymano starca białowłosego, zamieszkałego tam z młodą osobą, którą świeżo zaślubił. Nazywał się Ryszard Convay Seymour. Poznano w nim niejakiego Horacego Belmore'a, który w r. 1847 skazany był w Gandawie do ciężkich robót. Ale nie była to pierwsza i nie ostatnia jego kara. W roku 1841 skazany był w Paryżu na całe życie do robót publicznych; zniknął i już w r. 1847 znalazł się przed sądem w Gandawie. Dalej wstecz sięgając nazywał on się Amyas Deane, i skazany był w r. 1828 na 10 lat robót i piętnowanie w Brukseli. Willams skazany w r. 1819 w Pas de Calais na 5 lat ciężkiego więzienia, i John Kerr, wszystko to jedna i ta sama osoba. Nie wszystkie jednak tajemnice tego zbrodniarzą zostały dotąd wykryte. W r. 1851 schwytany w Calais, odstawiony do Paryża jako Cavendish, skazany był na 15 lat do robót. W więzieniu umiał złudzić dozorcę, że się zowie książe Devonshire, i że ma ogromny majątek, lecz że nie chce imienia swego zdradzać. Z pomocą dozorcy przebrany, uszedł z więzienia. W Hawrze przychwycono go i skazano go na galery. W r. 1867 skazany był w Lambecie za dwużeństwo. Oprócz tego skazany był w Neapolu, Bolonii, Hawrze. Jak on się zowie, dotąd nie wiadomo; nosił mnóstwo nazwisk: Belmore, Seymour, Ponsonby, Beuting, Devonshire. Ma kilka żon, z których trzy są przy życiu; żenił się kilka razy bogato, okradał żony, ściągał guwernantki pod wskazane adresa, jakoby dla swoich dzieci, zabierał im rzeczy i znikał, a mnóstwo jego spraw nosi na sobie cechę romantyczną.

(Samotnik w Montmartre.) Przed kilku tygodniami pogrzebano w Motmartre człowieka, którego życie było zagadką dla wszystkich mieszkańców tego zakątka Paryża, a nazwanego przez nich samotnikiem z Motmartre. Człowiek ten żył jak pustelnik w lichej lepiance, a żywił się jedynie chlebem i jarzynami. Każdego dnia o świcie wychodził ze swej lepianki i udawał się w pole. Szedł zawsze tą samą drogą aż do miejsca, gdzie się krzyżował gościniec z drogą prywatną i usiadłszy przed krzyżem drewnianym, tam stojącym, przepędzał w ten sposób kilka godzin, przerywając sobie niekiedy swoje rozmyślania bieganiem po polu jak szalony. Po jego śmierci dowiedziano się, że posiadał znaczny majątek i nazwisko sławne w historyi francuskiej i że był spokrewniony z wielu rodzinami z przedmieścia St. Germain. Zdaje się, że „samotnik z Montmartre“ przed trzydziestu laty należał do zbrodni, popełnionej na drodze do Econen, na pamiątkę czego postawiono ów krzyż drewniany, pod który samotnik w starości codzień chodził.

(Skutek anonsu). Pewien Amerykanin przedstawia skutek inseratu w następujący sposób: Czytelnik nie widzi wcale anonsu, gdy jest ogłoszony po raz pierwszy. Za drugim razem spostrzega go. Za trzecim czyta go. Za czwartym miarkuje sobie cenę ogłoszonego artykułu. Za piątym rozmawia o tem ze swoją żoną. Za szóstym postanawia kupić ten przedmiot, a za siódmym razem kupuje go. Z czego wypływa, że kupiec powinien przynajmniej siedm razy ogłaszać swój anons.

(Fraszki.) W czasach, gdy telegraf elektryczny nie był jeszcze wynaleziony, używano w Rosyi, podobnie jak i w innych krajach, tak zwanych telegrafów ręcznych. Budowano w pewnych odstępach wieże i podawano z nich sygnały za pomocą drążków i chorągwi. Pewnego razu chciał car przesłać depeszę do jakiejś prowincyi sybirskiej, i doszła też ona bez przerwy aż do granicy sybirskiej. Ale tu nastąpiła nagle przerwa. Dozorca wieży upił się i zasnął, i nie mógł przeto ani widzieć sygnału, ani też podać go dalej. Dopiero po niejakim czasie ocknął się i spostrzegł swoje przewinienie. Rozpacz go ogarnęła; pomyślał o knucie i kopalniach ołowiu, i dla uniknienia straszliwej kary postanowił obwiesić się. Jakoż wykonał nieszczęsny to postanowienie na jednem z ramion swego telegrafu. Strażnik najbliższej wieży, stojący na swojem stanowisku spostrzega go:„Do pioruna!—powiada—to szkaradny sygnał! ale taka jest wola cara.” I w pięć minut potem bałandał się

już wesoło w powietrzu. Dozorca trzeciej wieży był nie mniej służbistym, jak jego kolega; i jemu wydał się ten sygnał wielce niemiłym, ale nie chciał być nieposłusznym i podał dalej sygnał swoim trupem. W ten sam sposób podawano ów straszliwy sygnał wiernie aż do Tobolska, aż wreszcie wyrok gubernatora powstrzymał tę wieszaninę telegraficzną.

Pewien młody autor francuzki przedłożył swój dramat dyrektorowi teatru. Po upływie kilku tygodni odesłał mu tenże rękopis z oświadczeniem, że nie może przedstawić tej sztuki, ponieważ „mimo wszelkich innych zalet literackich zbywa jej na intrydze."—„To mnie wcale nie dziwi — odpowiedział młody autor — gdyż musiałem wypotrzebować tyle intrygi, ażeby się dostać do pana, że mi już zabrakło jej dla dramatu."

HUMORESKA.



Korespondencya z prowincyi. (Prawdziwe zdarzenie.)

Miasto nasze zostało w nocy zaalarmowane pojawieniem się wściekłego psa na rynku, który napadał przechodniów i zagrażał ukąszeniem. Znalazł się jednak odważny człowiek, woźny tutejszego nadleśnictwa, który porwał strzelbę, udał się na rynek, zbliżył się do psa, zmierzył, wystrzelił, i trafił w same czoło — chłopa, który stał pod domem na przeciwnej stronie.

SZARADA.

Pierwszej z drugą używają
W łazienkach i zdroju;
Trzecie mistrze rozpoznają
Po tonach nastroju.
Całość lubo nie była na tronie,
Rządziła więcej niż króle w koronie.

Rozwiązanie szarady
umieszczonej w X. zeszycie „Strzechy":
Kanowa.

Poczta «Strzechy«.

Pani Urieli w Ustroniu. Niektóre z przysłanych poezyj będą poźniej użyte; inne są za słabe. — *Panu F. H. w Bochni.* Przysłany Krakowiak da się użyć przy sposobności. — *Drwi R. w Berlinie.* Uwagi o sercu będą umieszczone w następnym zeszycie. Zwracamy jednak uwagę autora na to, że nasz artykuł był traktowany z ironią, i że przeto nie zasługiwał na zarzut, który mu zrobiono. — *Panu Szczęsnemu w Miłosławiu.* Z nadesłanych prób mogą być użyte tylko: „Dziewicze marzenia", jeżeli autor zgodzi się na maleńką poprawkę. — *Panu K. w Rohatynie.* Moglibyśmy uczynić zadość tylko prośbie autora o zniszczenie.

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.